ŚWIATOWID

Nr. 49/486 ROK
2 GRUDNIA 1933 R.
NUMER ZAWIER
24 STRON DRUK
W CZECHOSŁO
WACJI Kc. 2·20.



PRZED SPOTKANIEM POLSKA—NIEMCY.

W sferach sportowych ogromne zainteresowanie wywołał mecz piłkarski, który zostanie rozegrany w najbliższą niedzielę w Berlinie pomiędzy reprezentatywnemi drużynami Polski i Niemiec. Na zdjęciu grupa polskich graczy w czasie treningu. W dali widoczna brama Brandenburska w Berlinie, będąca symbolem tego miasta.

UROCZYSTOŚCI GRODZIEŃSKIE.

Grodnu, tyloma wspomnieniami z radosnych i tragicznych chwil historji polskiej upamiętnionemu, przypadł w udziale zaszczyt zamknięcia uroczystości z okazji 400-lecia urodzin Stefana Batorego podniosłym akordem. I słusznie się stało. — Wszak w Grodnie zamknął w r. 1586 oczy ten król, którego wielkość i niespożyte zasługi my dopiero w daleko pełniejszej mierze — niż współcześni — oceniamy. Trzy dni, od piątku 24-go do niedzieli 26-go listopada trwały te uroczystości, uświetnione obecnością p. Prezydenta Rzplitej, umyślnie na ten czas do Grodna wraz z najwyższymi przedstawicielami rządu przybyłego. — Współudział przedstawiciela Węgier, p. min. Matouski podkreślił ten związek, jaki w znacznej mierze właśnie dzięki Batoremu, synowi ziemi siedmiogrodziej, zawiązał się pomiędzy Polską a Węgrami, wytrzymawszy wszelkie zmiany dziejów i polityki obu państw. Przybyłego do Grodna p. Prezydenta Rzeczypospolitej witała cała ludność z najgłębszym szacunkiem i największą serdecznością, ciesząc się i tem, że wchodzi w osobisty kontakt z Głową Państwa i tem, że kontakt ten przetrwa, te dni uroczystości, bo równocześnie zamek królewski w Grodnie, który niegdyś był jedną z rezydencyj Stefana Batorego, mianowany został rezydencją każdoczesnego Prezydenta Rzeczypospolitej. To też miasto dało wyraz swej osobliwej wdzięczności dla P. Prezydenta, ofiarowując Mu godność honorowego obywatela Grodna.

Ale i okolica Grodna wzięła bezpośredni udział w tych podniosłych manifestacjach. Oto na zaproszenie gminy Kopciówka p. Prezydent ze świtą udał się tam i wziął udział w uroczystości poświęcenia Domu Ludowego im. Prezydenta Mościckiego. W niedzielę nastąpiło zamknięcie uroczystości. Po solennem nabożeństwie, rozpoczęła się defilada, po niej zaś odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na murach starego zamku królewskiego. Tablica to po wszystkie czasy będzie wspomnieniem tych wielkich uroczystości, które jak najgodniej zakończyły całą serję hołdów, składanych Wielkiemu Królowi przez wdzięczny naród.



Odsłonięcie pamiątkowej tablicy ku czci Stefana Batorego na murze starego zamku królewskiego.

FOT. W. PIKIEL WARSZAWA.

Powitanie p. Prezydenta Rzplitej przez dzieci gminy Kopciówka.



Dowódca 81 p. p. z okazji 15-lecia pułku wręczył podczas uroczystości odznakę pułkową p. Prezydentowi Rzplitej, przedstawicielom władz, generalicji i społeczeństwa.



Defilada 29-go p. a. przed p. Prezydentem Rzplitej, stojącym na trybunie w otoczeniu przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych.

I W HELSINKACH BIJĄ SERCA POLSKIE.

Nieliczni wprawdzie, lecz duchem patrjotycznym ożywieni Polacy, mieszkający w Helsinkach (Finlandja), obchodzili uroczyście 15-lecie odzyskania Niepodległości Polski. Wszystkie wybitniejsze osobistości miejscowej kolonji wzięły w tym obchodzie udział, m. i. pp. poseł R. P. Charwat z małżonką, ks. biskup Buck (Holender, mówiący po polsku), p. prof. J. J. Mikkola (Finlandczyk, który po polsku wygłosił przemówienie), Wnuk, prezes Zjedn. Polaków w Helsingsforsie.



Uroczyste zebranie Polaków i finlandzkich sympatyków Polski w Helsinkach w dniu 12 listopada b. r. (Siedzą przy stole pp. prof. Mikkola, Charwatowa, żona posła R. P., ks. biskup Buck, pos. R. P. Charwat, prez. Wnuk i in.

„Alleeez!... Alleeez!...“

Krzyk boiska hokejowego.



Niebezpieczny moment pod bramką „Śląska“ w czasie meczu Kraków—Śląsk, rozegranego ostatnio w Katowicach.

Błotko pomieszane z śniegiem chlapie rozpaczliwie pod nogami. Wogóle, wydaje mi się, że jest rzeczą niemożliwą, aby przy takiej pogodzie można rozgrywać mecz hokejowy. Nie zapominajmy jednak, że Katowice to Europa. Sztuczny tor hokejowy stanowi nietylko przedmiot dumy Katowic, ale zarazem miejsce pielgrzymek rzesz sportowców z całego Śląska, a nawet Bytomia, Gliwic i Wrocławia.

Przy kasie, jak w całej Europie, młodociani miłośnicy sportów robią sztuczny tłok, celem przedostania się na boisko. Kilku z nich, pomimo groźnych okrzyków posterunkowego „ty śmiołku“, skacze przez płot i druty kolczaste, narażając na zniszczenie swoją i tak już niezbyt całą garderobę.

W restauracji, z której rozciąga się widok na cały tor — miejscowy high-life — pożywia się solidnie, sportowcy zaś w nieprawdopodobnie szerokich spodniach, z wściekle fantazyjnymi szalikami na szyjach, piją z zapałem wonny krupnik.

Gwizd sędziego odrywa nas od stolików ciepłej restauracji. Zimno— lepkie powietrze spowija tor. Wdali sterczą czarnemi wykrzyknikami rusztowania hut i kopalń, a nieustanny, daleki coprawda hałas przypomina, że jesteśmy na Śląsku. Na lód wyskakują, podobni do mechanicznych lalek Krakowianie. Potem Ślązacy. Podanie rąk, gwizd i... gazu, naprzód.

Kraków, podobny do nieustępliwej fali morskiej, sunie na bramkę Śląska. Napastnicy Krakowa skaczą przez wystawiane kije przeciwników, dwoją się i troją, przejeżdżając przez zatory obrony. I raz za razem gumowy krążek trzepoce w siatce bramki Śląska.

Widownia milczy. Jest przybita. Równie smętne twarze ma przodownik P. P., jak i zamorusany „Hanysek“, czy „Gustlik“, który przyszedł tu „na gapę“. Wreszcie tłum nie może wytrzymać. Wydaje się, że runie na pomoc swoim sympatykom.

— „Pieruna szwentego — nie fafrajcie, tylko na nich“ — krzyczy kilku starszych panów w „szanowitych“ melonikach, z czarnymi parasolami w rękach.

Ślązacy straciwszy szereg bramek, strzelonych czarodziejskiemi kijami Wołkowskiego i Nowaka — ruszają do ataku. Uciekają bokami, próbując nieustannie przedrzeć się przez mur „Krakowioków“, gnani nieustannemi okrzykami publiczności „alleeez... alleeez...!“ Ten okrzyk bojowy rozgrzewa publiczność i doopinguje graczy. Wśród szalonych ryków Lorek strzela honorową bramkę dla Śląska.

Na chwilę uwaga zostaje odwrócona od boiska. Mianowicie jeden z zapaleńców sportowych, stojąc na „eksponowanej“ placówce — usianego kolcami płotu — spadł w błoto i śnieg, robiąc się „na murzyna“.

Gra ma się ku końcowi. Publiczność strużkami wypływa z boiska. Pierwsi gonią znów mali chłopcy; naprzeciwko bowiem toru rozgrywa się mecz piłkarski. Muszą być przecież na nim. Bo kto wie, czy bez ich obecności mecz wogóle mógłby się odbyć. **J. Radzimiński.**

MAMY DOŚĆ TEGO PROCESU.

Wlokący się od szeregu tygodni proces o podpalenie Reichstagu zdenerwował nawet samego van der Lubbego, który dotychczas siedział na ławie oskarżonych apatycznie, z głową spuszczoną i bezmyślnym wyrazem twarzy, jakby nie interesując się tem, co się dzieje na sali. Ale nareszcie pewnego dnia zerwał się on z miejsca, chwycił pod boki i zawołał: „Mam już dość tego całego procesu, oddajcie mi moje cywilne ubranie i skażcie mnie albo na 20 lat więzienia, albo na śmierć“. W dalszym ciągu swoich zeznań van der Lubbe podkreślił jeszcze raz z naciskiem, że nie miał żadnych wspólników i że zbrodni swojej dokonał zupełnie samodzielnie.

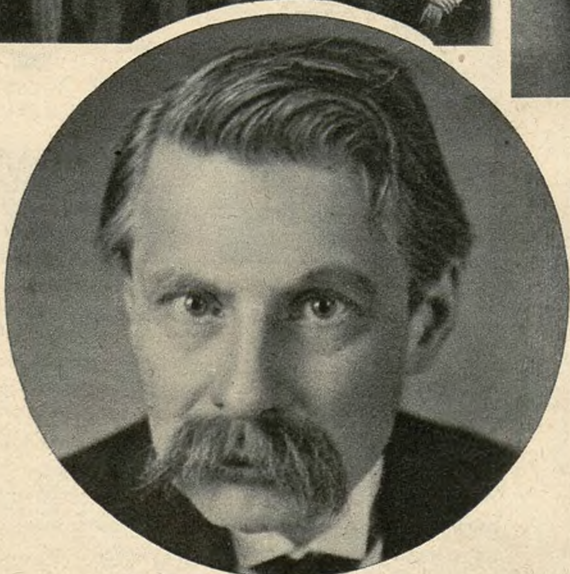
Na marginesie wystąpienia van der Lubbego warto zanotować, że dzisiejsze procesy są rzeczywiście niekiedy prowadzone za rozwlekle, przez co stają się torturą, zarówno dla oskarżonych, jak i sędziów, a nawet dla... obserwatorów.



ECHA TYGODNIA.



LUDZIE, KTÓRZY TWORZYLI HISTORJĘ. Dnia 22 listopada br. minęło 15 lat od chwili oswobodzenia Lwowa, który władze austrjackie oddały podstępnie w ręce Ukraińców. Bohaterstwo jednak garstki młodzieży, która przez trzy tygodnie zmagała się z przewagą nieprzyjacielską, pozwoliło na zorganizowanie odsieczy pod dowództwem płk. Tokarzewskiego, która ostatecznie Ukraińców wyparła ze Lwowa. W tych dniach uczestnicy tych sławnych bojów zebrali się we Lwowie. Na zdjęciu siedzą w drugim rzędzie od lewej: pp. płk. Baczyński, płk. Mączyński, gen. Mond, płk. Boruta Spiechowicz i inni.

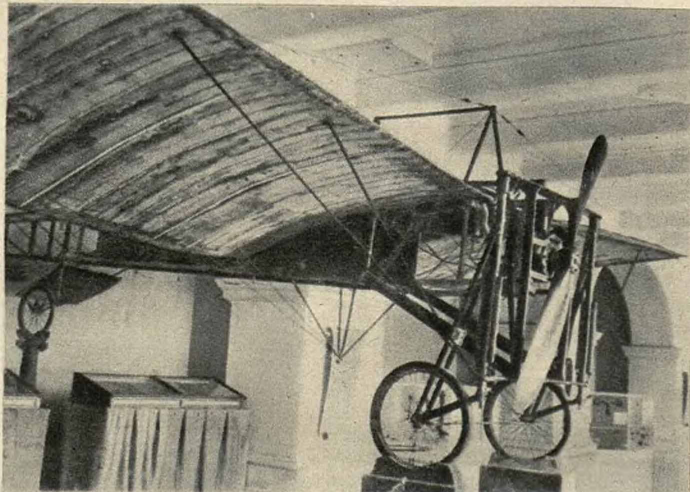


ZGON WYBITNEGO POLITYKA. W Paryżu zmarł na grypę deputowany z tego miasta Francois Albert, b. minister. Należał on do wybitnych przedstawicieli lewicy.

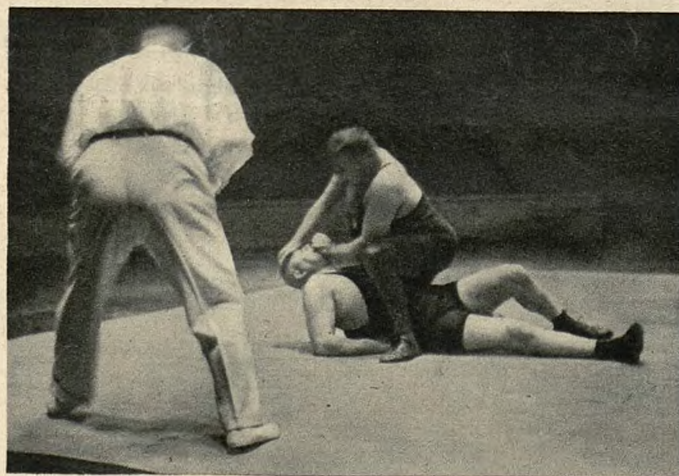


JESZCZE JEDNO PRZESILENIE WE FRANCJI. — Jak było do przewidzenia, gabinet Sarauta został obalony, przy pierwszej próbie zrównoważenia budżetu. — Następcą jego został Chautemps. Na zdjęciu leader lewicy Herriot w otoczeniu dziennikarzy, w momencie, gdy oświadcza, że premjerostwa nie przyjmie.

Z TEATRU W CZĘSTOCHOWIE. Wśród grona artystek teatru częstochowskiego urodą i talentem wybija się Halusia Motyczyńska, która ostatnio odniosła duży sukces w „Fircyku w zalotach“..



REWJA HISTORYCZNYCH SAMOLOTÓW. W Paryżu otwarto wystawę, na której można oglądać najrozmaitsze aparaty, które dokonały historycznych wyczynów. Największą sensację wśród nich wzbudza aeroplan „Blériota“ (na zdjęciu), na którym ten pionier lotnictwa przeleciał kanał La Manche.



O MISTRZOSTWO ŚWIATA. W Berlinie w cyrku Buscha odbywają się zawody zapaśników o tytuł mistrza świata. Na zdjęciu moment mocowania się pomiędzy Askarem Luppą i Eschem.



POTĘGA ŚWIATA OBRADUJE. W Madrycie odbyła się Międzynarodowa konferencja (na zdjęciu) prasowych biur rządowych i reprezentantów prasy, z udziałem także polskich delegatów, w osobach p. Feliksa Mrozowskiego, prezesa Rady Polskiego Związku Wydawnictw i Czasopism, p. Stan. Kauzika, dyr. Polsk. Związku Wydawców dzienników i czasopism, i innych.

MŁODOCIANY MATKOBÓJCA.



Budapeszt został wstrząśnięty zbrodnią, popełnioną na osobie p. Zentlen, żony profesora uniwersytetu, która została znaleziona zamordowana w swojem mieszkaniu. Policja ustaliła po krótkiem badaniu, że mordercą jest jej syn Dionis, liczący zaledwie 15 lat. Uciekł on, ale szybko został przez detektywów schwytany. Jak widać na zdjęciu, nie okazuje on żadnej skruchy, ale z uśmiechem rozmawia z policjantami i tłoczącą się publicznością, oczekując na pociąg, który odwiezie go do Budapesztu.

JAK SIĘ BANKIETUJE W AMERYCE.



Typowy bankiet amerykański. Jubilatem jest ks. Franciszek Kasaczun z Sugar Notch, Pa.

Bankiet wśród Polonji amerykańskiej! Jakże charakterystyczny rys z życia Polaków za oceanem.

Rys swoją drogą nie rdzennie polski, bo zapożyczony z bogatych obyczajów amerykańskich. Lecz zapożyczony z zapałem i wykonywany z przejęciem.

Bankietuje się wśród Polonji amerykańskiej ochoczo — z powodu rocznicy narodowej, z powodu ślubu i z powodu śmierci, dla smutku czy radości, dla takiej okazji i dla innej — i choćby bez okazji, której gdy nie ma, nie trudno jest sobie ją stworzyć. Byleby bankiet był. Bo będzie dużo prezesów i dużo mów.

Zaczyna się wszystko od posiedzenia. Od kilku posiedzeń. Albo lepiej od wielu posiedzeń, na których mężowie wybitni wybierają całe góry komitetów. Wybierają poważnie, skrupulatnie, w namaszczonym mozole i trudzie. Szanujący się Komitet bankietu musi mieć przecie dobrych parę setek członków — 300, 400, 500... A i okrągły tysiąc też nie zawadzi...

Pełne takie wybrane ciało dzieli się na Komitet generalny (General Comitee) i Komitet wykonawczy (Executive Comitee), które mają swoich prezesów honorowych, swoich prezesów generalnych i swoich prezesów zwyczajnych, ponadto sporo, bardzo sporo wiceprezesów (od 10 do 20), po kilku sekretarzy i tyluż zastępców skarbników itd., itd.

Pod wysokim protektoratem tych dwóch ciał naczelnych z przejęciem debatują niezliczone Komitety szczegółowe: Komitet opiekuńczy, Komitet zaproszeń, Komitet przyjęć, Komitet wprowadzań, Komitet prasowy, Komitet muzyczny, Komitet dekoracyj, Komitet biletów, Komitet oznak (żetonów) itd., itd., oczywiście każdy znowu ze swoim osobnym sztabem własnych prezesów, wiceprezesów i reszty sowicie utytułowanych osobistości (Bardzo ważny jest prezes Komitetu żetonów, proszę nie zapomnieć!).

Cóż teraz robią ci wszyscy zapracowani ludzie, gdy akt ukonstytuowania się tej całej potężnej maszyny jest gotowy? Drukują program bankietu. Ozdobnym drukiem, na pięknym papierze kredowym, w twardej okładce, przybranej arcybogatemi winietami.

Skąd na to mają pieniądze? Sposobem bardzo prostym. Przedewszystkiem bez względu na motyw bankietu, choćby najściślej osobisty, ślub np. czy srebrny jubileusz, wstęp na bankiet jest płatny. Poza tem do tej pięknej księgi programu Komitet propagandy zdobywa słono płatne ogłoszenia, w których na pierwszem miejscu wszyscy „politykierzy“ danego okręgu, a więc kongresmeni, senatorzy, radni miejscy „dziękują za zaufanie i przypominają, że do najbliższych wyborów stają już w nadchodzącym grudniu“, następnie „profesjonaliści“ (adwokaci, lekarze, dentyści) składają życzenia jubilatowi i deklarują, że rwą zęby bez bólu przy ul. 185-tej po 5 dol. od sztuki, i wreszcie kupcy i fabrykanci życzą jubilatowi wszystkiego najlepszego i polecają kiełbaski i marmurowe nagrobki po zniżonych cenach.

A cóż poza tem taki program bankietu zawiera? Na honorowem miejscu nazwiska wszystkich członków wszystkich komitetów. Oczywiście. Z godnościami i funkcjami. Następnie menu bankietu, którego smakowitą muzykę podniebienia rozpoczyna nieodmienne preludjum z grape-fruitów, fortissimo melodji niesie nieśmiertelny chiken, czyli kura, bez której jak Ameryka Ameryką, niema uczciwego bankietu, a senne finale rozpływa się w potokach białej kawy, którą Amerykanin, jak wiadomo, pić umie niby piwo czy wino przy każdem daniu, nie wyłączając befsztyków. I do tego jeszcze dużo wody — tej, która się leje z karafek i tej, która płynie strugą z ust wymownych mówców.

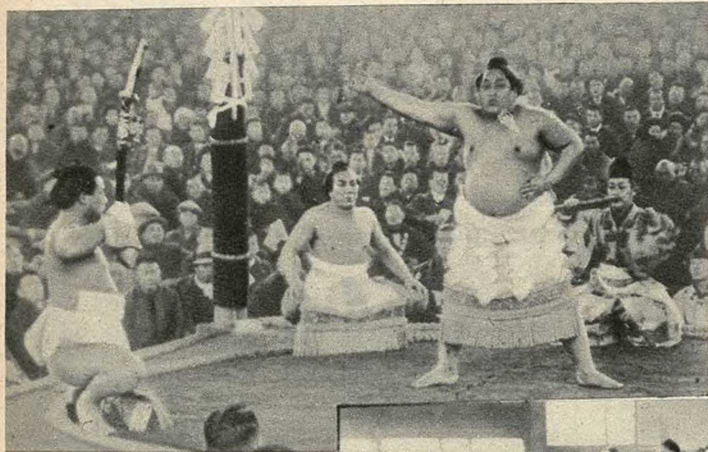
Dziwisz się czytelniku? Bo ty zapewne, tak jak i ja do niedawna, wyobrażasz sobie Amerykanina w kwadratowej postaci mileczka, który nogi trzymając wysoko na oparciu fotela, pięścią bije w stół i powiada „tak“ albo „nie“. I nic więcej. Miłe złudzenie. Bo w istocie jest mocno inaczej. Nie ma na kuli ziemskiej narodu płynniej rozgadanego i w tem swojem rozgadaniu bardziej rozkochanego, jak właśnie Amerykanie.

Okrasą takiego bankietu jest jeszcze jego uroczysty wstęp, który zwie się inwokacją, a jest rodzajem przemówienia-modlitwy, wygłoszonego przez księdza, a wysłuchanego przez biesiadników w skupionej postawie stojącej, jakoteż program muzyczno-wokalno-deklamacyjny.

A jak sala wygląda? Spójrzcie na fotografję. Jest bogata, w to chyba nikt nie wątpi. Przynajmniej jedna ze ścian jest przybrana draperją i flagami St. Zjedn. i Polski. Pod nią ciągnie się długi stół honoracjorów. Poznać go po tem, że palą się na nim świece, a co drugi przy nim siedzący ma Polonję Restituta.

Przy tym to stole honoracjorów siedzi też zazwyczaj gość z Polski. Je, albo nie je, patrzy, dziwi się trochę, czasem uśmiecha — ale uśmiecha życzliwie i patrzy wyrozumiale na tę dostojność błahych rzeczy po drugiej stronie Wielkiej Wody. A już gdy pod koniec bankietu zebrani podniosą się, by chórem zaśpiewać oficjalny hymn Polonji „Boże coś Polskę“, gdy ujrzy te twarze skupione i często łzę w niejednem starem oku, sentyment wypłoszy mu z kątów ust resztki uśmiechów sceptycznych i serce mu zabije mocniej w zrozumieniu tej prawdy oczywistej: „To są Twoi bracia, serdeczni Twoi bracia z za oceanu“. I wodząc oczyma po twarzach tych wszystkich prezesów i wiceprezesów, życzy im z głębi duszy: Niechże wam Pan Bóg da dużo jeszcze takich bankietów i wogóle wszystko najlepsze, drodzy bracia z poza Wielkiej Wody!

SUMO JAPOŃSKI SPORT NARODOWY.



Jobidasi (zapowiadacz) wywołujący pierwszą parę atletów.



Postawa zasadnicza przed atakiem.

Tenis, golf, boks, piłka nożna i lekka atletyka zjednały już sobie w Japonji olbrzymie rzesze zwolenników, a wyniki ostatniej olimpjady w Los Angeles wykazały, że Japończycy w niejednej gałęzi sportu prześcignęli swych białych rywali. Mimo to „Synowie Wschodzącego Słońca" nie zapominają o swych rodzimych sportach, jak „dziudzicu" — samoobronie, „kendzicu" — szermierce i „sumo" — zapaśnictwie. Najwięcej z tradycją związane jest właśnie „sumo" — zapaśnictwo. Starożytni kronikarze wspominają o pierwszej walce ciężkich atletów, która odbyła się w obecności cesarza Sujnin w 23 roku przed Chrystusem. Zwycięzca Sukune otrzymał wtedy wszystkie dobra, stanowiące dotychczas własność pokonanego przeciwnika. Przez długie wieki „sumo" było atrakcją dworów cesarskich, siogunów i dajmiów. Powoli jednak rozpowszechniło się w całym kraju, jako sport narodowy i nie utraciło swej popularności nawet obecnie w dobie europeizacji.

Atleci, tak jak dawniej, posiadają swe związki, rangi i zachowują ustalone tradycją zasady walki. Młody adept przez długie lata musi ćwiczyć i wysługiwać się swemu mistrzowi, zanim zostanie zapisany do związku. Dwa razy do roku są urządzane w Tokio zapasy, trwające 11 dni. Do stolicy przybywają wtedy atleci z całego kraju, by walczyć o tytuł niepokonanego, zaliczenie do wyższej klasy i puhar srebrny, metrowej wysokości, ufundowany przez obecnego cesarza, gdy jeszcze był następcą tronu. Dzienniki, nawet poważne, poświęcają wówczas całe stronice opisom zapasów, rodowodom atletów i historji szkoły, w której ćwiczył zwycięzca. Widowiska te odbywają się w amfiteatrze Kogukikan nad rzeką Sumida w pobliżu mostu Rjogoku.

Amfiteatr ten w ciągu jedenastu dni jest stale przepełniony. Nic dziwnego. Przecież conajmniej każdy dziesiąty z 4,900.000 mieszkańców stolicy Japonji uważa za swój obowiązek przypatrzeć się zapasom, które trwają od 6-tej rano do 7-mej wieczorem. Najwcześniej zjawia się publiczność, która na tańszych miejscach chce się usadowić najwygodniej. Przyprowadzają i przynoszą na plecach dzieci, gdyż niema je komu zostawić pod opieką. Rodziny przybywają z zapasami żywności, by nie tracić pieniędzy niepotrzebnie w restauracji w czasie przerwy. Bogatsi zajmują loże i balkony dopiero popołudniu, gdy występują słynni atleci. W środku amfiteatru znajduje się „dohjo" — arena, a nad nią wznosi się na czterech słupach jakgdyby duży baldachim. Na arenie wysypanej piaskiem wyznaczone są dwa koła, z których środkowe, według przepisu, ma cztery metry średnicy. W tem środkowem kole toczą się zapasy.

Zbliża się godzina szósta rano. Tłum stłoczony w nieprawdopodobny sposób, objawia swoje zniecierpliwienie taką wrzawą, że trudno zrozumieć sąsiada. Zgiełk cichnie nieco, gdy wychodzi na arenę czterech bocznych sędziów, którzy sadowią się na matach pod słupami. Wchodzi następnie „jobidasi" — zapowiadacz i „gjodzi" — sędzia, przybrany w barwny strój z czerwonym wachlarzem w ręce. Jobidasi donośnym, monotonnym głosem wywołuje zapaśników, którzy w tym dniu mają walczyć. Kolejno zjawiają się i stają szeregiem olbrzymie ciała, okryte poniżej pasa długim do stóp fartuchem, na którym wypisana jest nazwa związku atlety. Zawodowcy odznaczają się charakterystycznym kokiem na głowie. Popularniejszego zapaśnika tłum wita burzą wrzasku i oklasków. Wraz z pojawieniem się na arenie ostatniego wywolanego, odchodzi za kulisy pierwszy.— Za nim znika reszta. Wtedy jobidasi wywołuje pierwszą parę atletów. Przy warkocie bębna zjawiają się już bez fartuchów, tylko z małemi przepaskami na biodrach i stają w pewnem oddaleniu naprzeciw siebie. Jobidasi cofa się, a jego miejsce w zewnętrznem kole zajmuje gjodzi — sędzia. Tymczasem wśród ogólnej ciszy dwa nagie, 130-kilogramowe cielska, których muskuły skryte są zupełnie pod tłustą skórą, wykonują jakieś ruchy ćwiczebne, tupią nogami, wreszcie przysiadają, opierając się rękami o arenę. Zdenerwowanie ich przejawia się tylko w kurczowem wyszukiwaniu palcami lepszego miejsca w piasku i w bystrem spojrzeniu, wbitem w przeciwnika. Mają przecież do dyspozycji aż 200 chwytów, dozwolonych regulaminem, który więc z nich najlepiej zastosować? Wreszcie sędzia daje znak. Skaczą do siebie jak dwa żbiki. Jeden i drugi stara się wyprężonemi rękami nie dopuścić bliżej do siebie przeciwnika, tylko odepchnąć go nagle, lub podciągnąć poza pierwsze koło. Zdenerwowanie góruje nad rozsądkiem i taktyką. Zbijają się w jedną masę, która przewraca się po arenie z taką szybkością i w tak dziwnych chwytach, że niekiedy trudno rozróżnić, do którego z nich należy noga obejmująca kark, lub ręka gniotąca podudzie. Donośne sapanie i nieludzki wprost charkot świadczą o ich zmęczeniu. Wreszcie któremuś z nich udaje się zerwać szybciej. Podskakuje i całym ciężarem swego ciała wali się na przeciwnika. Powtarza to kilka razy. Zrywają się wkońcu równocześnie — by znów runąć na siebie. Ruchy ich jednak stają się powolniejsze. — Wywołuje to nieopisany wrzask publiczności, która już upatrzyła zwycięzcę. Decyduje głównie ciężar ciała. Olbrzym 130-kilogramowy z łatwością podnosi za kark i nogę lżejszego atletę i rzuca nim kilkakrotnie o ziemię. Ogłuszony i osłabiony przeciwnik pozwala się wyrzucić poza pierwsze koło. Towarzyszy temu huragan oklasków i ryk tłumu. Sędzia rzuca pod nogi zwycięzcy czerwony wachlarz, a podnieceni widzowie ciskają na arenę cokolwiek mają pod ręką, kapelusze, laski, chustki, wachlarze. Po zawodach wykupują te rzeczy od zwycięzcy. Pomocnicy odprowadzają zapaśników.

ZDJĘCIA C. DELIUS NICE.



Zapaśnicy w walce.

Po skończonych zapasach wychodzę z amfiteatru z szumem w głowie. Tłumy stoją przed wielką tablicą t. zw. bandzuke, na której wyszczególnieni są zapaśnicy według rangi. Roznosiciele gazet uwijają się, krzycząc: „Asahi-googaj — Asahi — nadzwyczajne wydanie. Kto dzisiaj zwyciężył? Opodal głośnik radjowy wymienia nazwiska zwycięzców. Zajeżdżają samochody, riksze, tłum rozchodzi się powoli...

Jutro będzie to samo...

Ten.



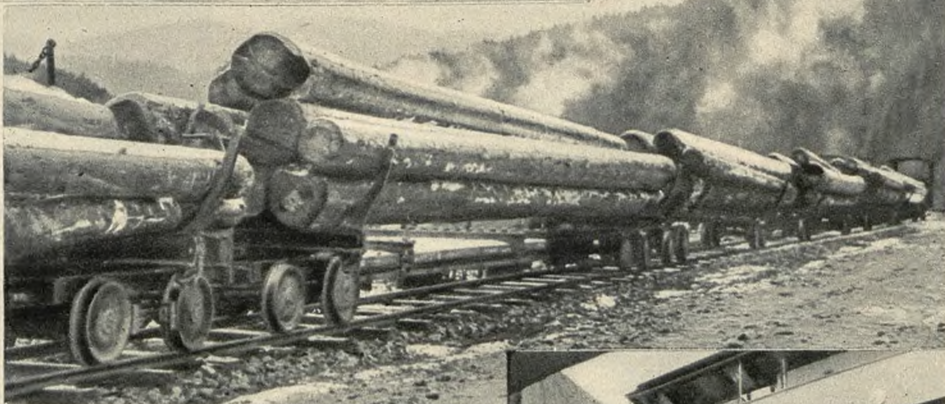
Zwycięzca z puharem cesarskim w ręku.

POMIĘDZY LASEM A MORZEM.



Stary las. Zdjęcie z okolic Krynicy.

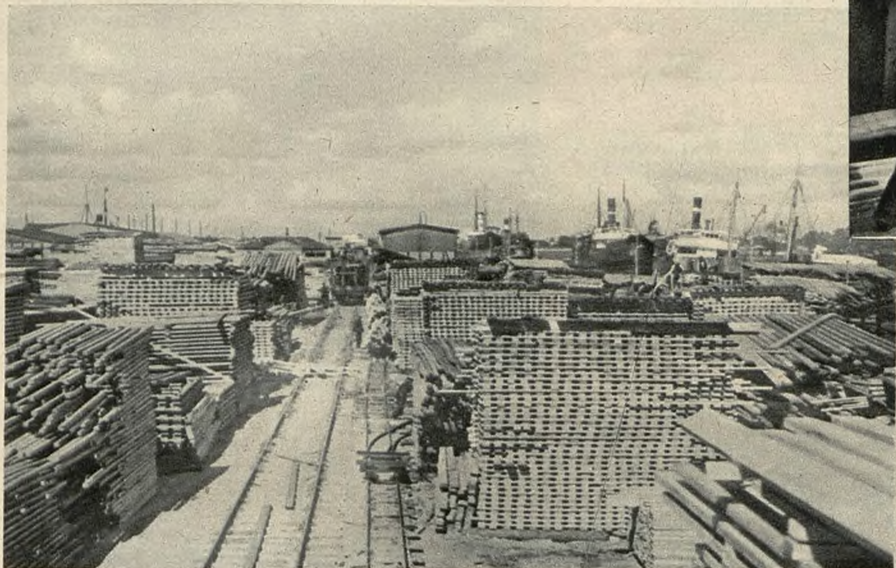
Lasy stanowią w wielu krajach, m. in. i w Polsce, jedno z głównych źródeł bogactwa narodowego. Nic więc dziwnego, że ustawodawstwo krajowe chroni je przed dewastacją, ujmując gospodarkę leśną w pewne formy, zapewniające jej stały rozwój. Polska, która pierwotnie była jedną nieprzejrzaną puszczą, obecnie ma zaledwie 1/5 część obszaru zalesioną.



Drzewo z lasów Karpackich w drodze do morza.

Wojna europejska poza zniszczeniem całego obszaru dzisiejszej Polski, spowodowała nieprawdopodobne zniszczenie lasów. W wielu częściach kraju znikły one prawie zupełnie z powierzchni. — Wspaniałe drzewostany kładziono pokotem, aby na olbrzymich przestrzeniach naprawić zniszczone przemarszami walczących armij drogi, budować okopy i schrony lub masowo wywozić materjał drzewny do Hinterlandu.

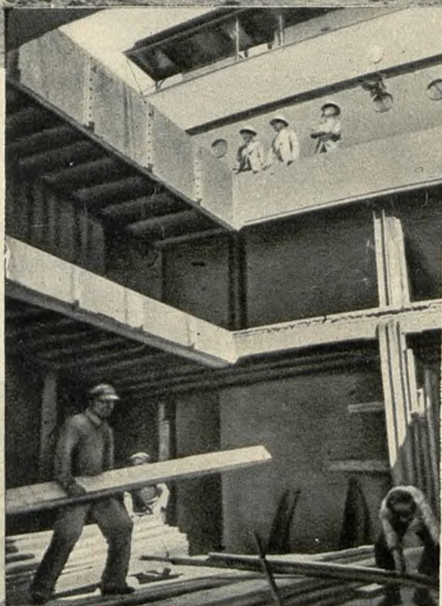
Po ustaniu działań wojennych, gdy młode państwo polskie nie mogło dla braku należytej organizacji ująć odrazu w karby wielu dziedzin życia gospodarczego, rozpoczęła się dzika i rabunkowa dewastacja lasów. W okresie chaosu walutowego, spowodowanego ogólno-europejską inflacją, wytworzyła się sztucznie złudna konjunktura dla drzewa na rynkach europejskich. Cięto więc i w Polsce bez opamiętania to, co jeszcze pozostało z wojny i wywożono za granicę w stanie prawie surowym.



Port drzewny w Gdyni.

W zrozumieniu doniosłości znaczenia lasów dla gospodarstwa i bogactwa narodoweego, wkroczyło wreszcie państwo, kładąc kres temu wandalizmowi. Przedewszystkiem zakreślono racjonalne plany dla krajowej gospodarki leśnej. — Następny kryzys dokonał reszty. Konjunktura dla drzewa znikła — lasy odetchnęły. — Wprawdzie i w tej do dzisiaj niekorzystnej konjunkturze, eksport drzewa polskiego stanowi poważną pozycję w bilansie handlowym, jednakże to, co się obecnie dzieje, dzieje się według planu zgóry zakreślonego, uwzględniającego zarówno potrzeby racjonalnej gospodarki leśnej, jak i potrzebę państwa, związaną z wymianą międzynarodową.

Gdynia stała się portem drzewnym, uwalniając eksport drzewa polskiego z pod przemożnego i wrogiego wpływu Gdańska i eksporterów gdańskich. Z Gdyni płynie drzewo z naszych lasów do Anglji, Holandji, Belgji, Francji a nawet do Afryki, zdobywając swoją jakością coraz dalsze rynki. I chociaż eksport drzewa polskiego obejmuje na razie pół-fabrykaty i drzewo w stanie nieobrobionym, to niedaleki jest czas, że rozwijający się polski przemysł drzewny zastąpi drzewo surowe wysoko wartościowemi fabrykatami z drzewa.



Ładowanie drzewa na statek w porcie gdyńskim.

DACH ŚWIATA.

Z NAJNOWSZYCH BADAŃ NAD TYBETEM.



Postój na zamarzniętem jeziorze.

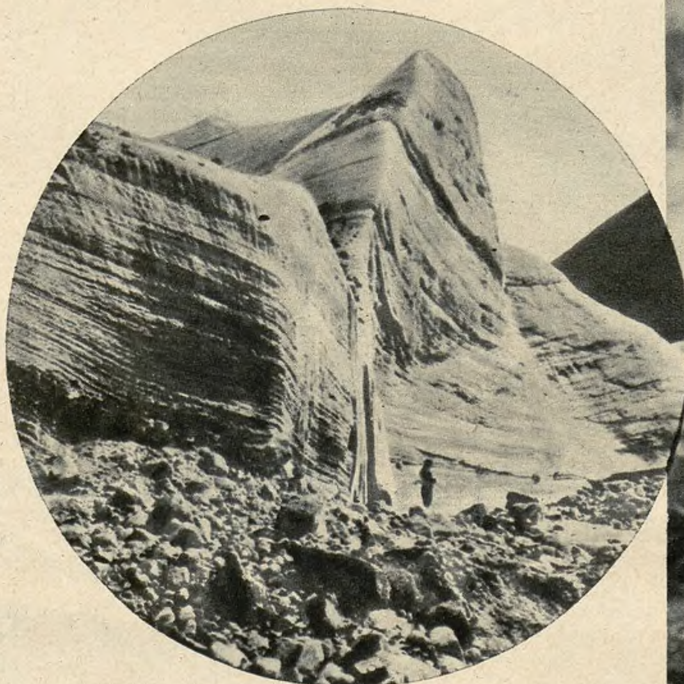


Karawana wielbłądów, przeciągająca przez śnieżne pustynie Tybetu.

Jeszcze niedawno, bo na przełęczy XVIII-go i obecnego stulecia, wnętrze Azji przedstawiało, nietylko dla mas, ale i dla uczonych, tajemniczą zagadkę. Wyżyna Pamiru, stoki Himalajów były jej terenem. Z legend, ze starych zapisków, z odkrywanych sporadycznie szczątków wnioskowało się niejasno, że ten olbrzymi szmat ziemi kiedyś, przed wiekami, zupełnie inaczej wyglądał niż obecnie, że były tu jakieś miasta, których dzisiaj już niema, że w innych niż dzisiaj miejscach rozlewały się wielkie jeziora, co więcej, że one w rozmaitych epokach zamierzchłej przeszłości zmieniały swoje łożyska. Ale jak i kiedy się to wszystko działo, tego nikt wyjaśnić nie potrafił. Wspominano dzikie hordy Czyngischana i Tamerlana i im przypisywano zagładę bogatych niegdyś środowisk ludzkich. Trudniej jeszcze było z wyjaśnieniem zagadki wędrujących jezior.

Dopiero obecnie uchylono bodaj rąbek tej zajmującej tajemnicy. Dzisiaj już się wie, że na tej olbrzymiej przestrzeni pomiędzy Indjami i Tybetem a Północą było kiedyś, kiedyś, przed miljonami lat olbrzymie morze Śródziemne, zasilane wiecznemi lodowcami. Skutkiem rozmaitych przeobrażeń naszej planety, to wielkie morze Śródziemne rozdzieliło się na poszczególne części, a te mniejsze jeziora pochłaniały znowu sporadycznie istniejące zdawna miasta, poczem zkolei same padały ofiarą przewrotów geologicznych, a zapasy wody gromadziły się w innych miejscach. Jednem z takich wędrujących jezior było jezioro Lop-Nor, które zalało podobno podczas jednego z etapów swojej wędrówki wielkie warowne miasto Lou-Lan. Inne, jezioro, Gashun-nor spowodowało w podobny sposób zagładę kwitnącego niegdyś miasta Khara Khoto, o którem jeszcze wspomina sławny podróżnik Marco Polo, żyjący w wieku XIII. Mieszkańcy miasta dokonywali podobno nadludzkich wysiłków, ażeby powstrzymać napór olbrzymich mas wody, ale wszystko było nadarmo. Do dnia dzisiejszego zachowały się jeszcze ślady kulturalnego życia obu tych miast, znaleziono wielkie zapasy broni, sprzęty domowe, a nawet drewniane deszczułki, z wyrytemi tajemniczemi znakami, używane przed wynalezieniem papieru. Lecz w samym środku Azji dokonano jeszcze ciekawszych odkryć. Wydobyto na wierzch ślady ludzkiego życia w epoce, pozbawionej jeszcze wszelkiej kultury, szczątki szkieletów jakichś, bliżej nieznanych, iście przedpotopowych zwierząt.

Badania tej tajemnicy przeszłości posuwają się ciągle naprzód, ale bardzo wolno. Zapał i praca badaczów mają do zwalczenia straszliwe przeszkody w atmosferycznych warunkach północnego Tybetu. Zawieje śnieżne i mrozy szaleją tutaj w nieznany nawet na Syberji sposób, uczeni, znoszący to wszystko, są istotnie ofiarnymi męczennikami wiedzy.



Moreny z epoki lodowcowej, charakterystyczne dla krajobrazu tybetańskiego.



Młode Tybetanki w swych charakterystycznych strojach futrzanych.



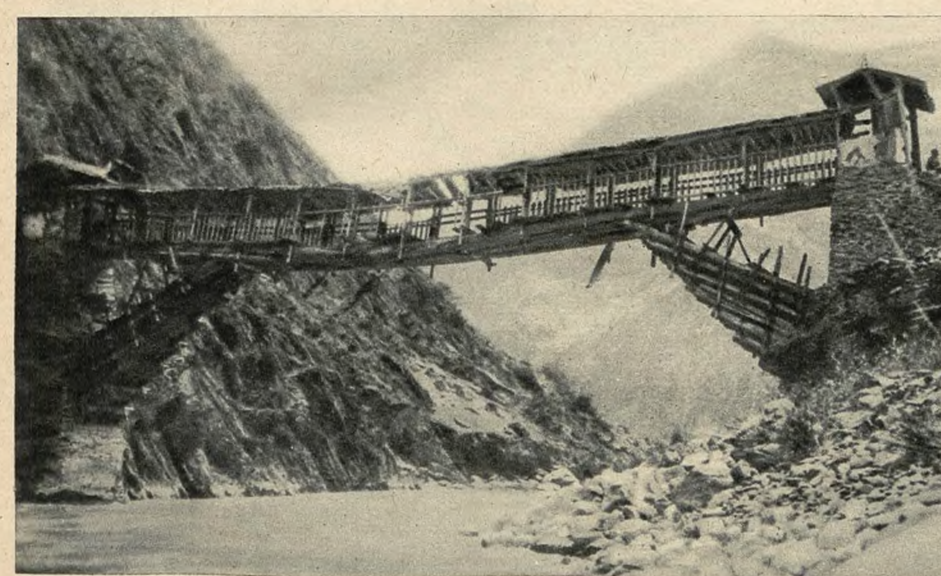
Szałas tybetański, zbudowany z kamieni.



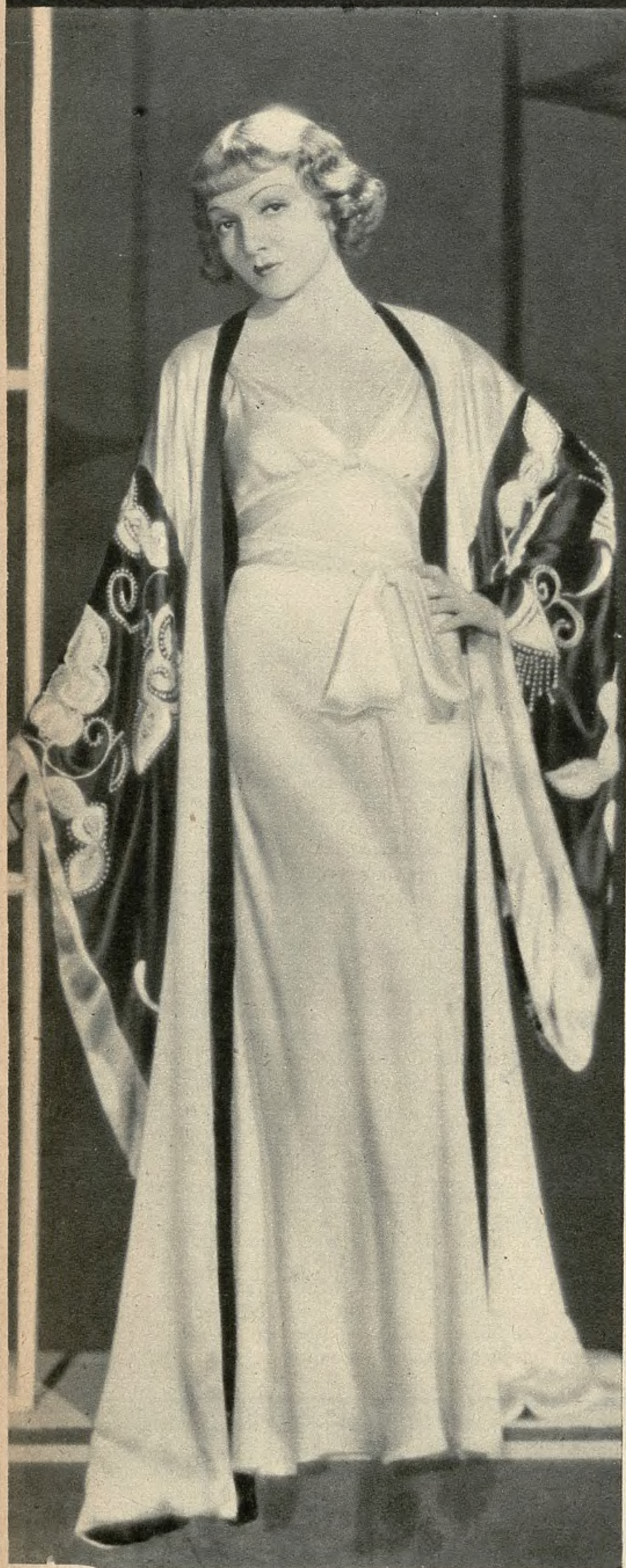
Stary Tybetańczyk z wnuczkiem przed jaskinią, która stanowi ich mieszkanie.



Jezioro Gashun-nor.



Most nad rzeką Białego Smoka w Tybecie.



Równolegle z krystalizowaniem się form mody odnośnie do sukien i okryć, dokonują się, niepostrzeżenie nieraz, zmiany w dziedzinie bielizny osobistej i negliżu. Bielizna musi stanowić odpowiednie tło dla każdej sukienki, której krój tylko na doskonale uszytej bieliźnie należycie się uwidoczni, a właściwa linja nie ulegnie zamąceniu w swej doskonałości.

Tak więc, co jakiś czas, przy zasadniczej zmianie linji kroju sukienek, zmienia się krój kombinacji, która zastąpiła miejsce koszulki i staroświeckiej już dziś halki. Inna kombinacja służy do sukienek dziennych, inna do wieczorowych czy balowych, które mają odrębne wymogi ze względu na swą długość, rozmaity kształt dekoltu i wreszcie odpowiednią strojność, dostowaną do charakteru tualety.

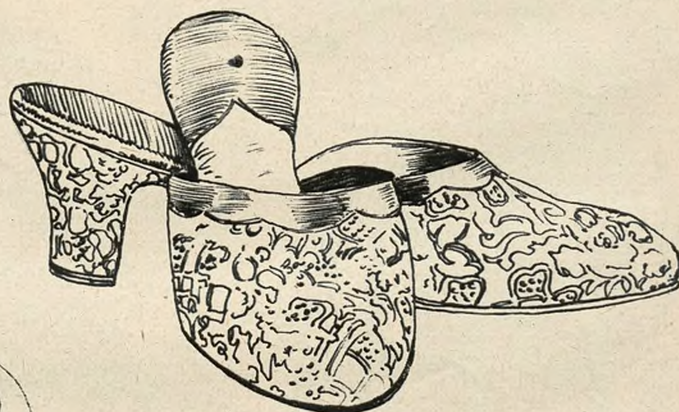
I tu wkraczamy w królestwo koronek, niezastąpionych w zdobnictwie bieliźniarskiem. Ich delikatne, pajęcze wzory, prześlicznie harmonizują z lekkim jedwabiem, który służy do wyrobu bielizny. Dostosowana koronka do koloru kombinacji a kombinacja do sukni, tworzą całość piękną i wytworną.

Jest jeszcze jedna dziedzina, w której wytworny negliż króluje w całej swej okazałości. To ranny strój, z którego tak ulubiona doniedawna pyjama zupełnie już została wyrugowana na korzyść uroczych szlafroczków, peniuarów, czy saut-de-lit. Do ich wykonania weszły ostatnio w modę wszelkie najoryginalniejsze jedwabie, jakie stworzono dla tualet balowych, a więc przedewszystkiem cienkie lamy jednobarwne lub tkane na jedwabiu w bajeczne kwieciste desenie mieniące się kolorem i połyskiem.

Taki negliż nie wiele potrzebuje już do przyozdobienia. Co najwyżej rękawy z pleureuse'ów lub fantazyjny pasek czy szarfa z aksamitu. Przylegający krój modeluje wdzięcznie naturalne kształty wytwornej kobiety, która może sobie pozwolić na domowy strój równie piękny jak suknia balowa, choć od niej zasadniczo różny krojem. Szlafroczek taki, długi do ziemi, zarzucony na długą koszulkę nocną, może być także wykonany z jednolitego jedwabiu, inkrustowanego w fantazyjne wzory, podbitego jednolitym tonem. I to są bodajże najpiękniejsze modele wytwornego negliżu, jakie przynosi sezon zimowy na przełomie 1933/4.

J. Z.





Wytworny negliż.

Z POD ZNAKU M • U • Z.

REWJA MALARSTWA I MUZYKI POLSKIEJ W MOSKWIE.

Bardzo znamiennym objawem polsko-sowieckiego zbliżenia na polu kulturalnem jest otwarta co dopiero wystawa malarstwa polskiego w Moskwie. Społeczeństwo polskie miało niedawno sposobność zapoznania się z jednym działem współczesnej sztuki sowieckiej, a mianowicie z drzeworytnictwem, w którem nasi wschodni sąsiedzi osiągnęli szczególnie wysoki poziom artystyczny, czego dowodem są dzieła Krawczenki. Obecnie znowu społeczeństwo rosyjskie ma sposobność zapoznania się z dzisiejszem malarstwem polskiem. Wystawa, której organizacją z ramienia rządu polskiego kierował prof. krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych p. Jarocki, została otwarta bardzo uroczyście ze współudziałem reprezentacyjnych czynników urzędowych, naszego przedstawicielstwa dyplomatycznego oraz licznie zebranych artystów polskich i sowieckich. Wygłoszone przy tej sposobności przemówienia dały wyraz obopólnemu pragnieniu zapoznania się dokładniejszego z działalnością kulturalną obu narodów. Temu celowi służyć będą również prelekcje, już zapowiedziane, które z okazji wystawy wygłoszą w językach polskim i rosyjskim autorytatywni przedstawiciele sztuki i krytyki artystycznej polskiej. Niemal równocześnie na terenie innego działu sztuki dokonało się również to kulturalne zbliżenie polsko-sowieckie. Oto urządzono w Moskwie osobny reprezentacyjny koncert muzyki polskiej, w którym obok orkiestry wzięła udział znakomita śpiewaczka p. Ewa Bandrowska-Turska wywołując entuzjastyczne oklaski wśród audytorjum, w którem i tym razem reprezentowane były najpoważniejsze czynniki społeczeństwa sowieckiego.



Dnia 12-go ub. m. nastąpiło otwarcie wystawy malarstwa polskiego w Moskwie. Na zdjęciu moment wygłoszenia przemówienia powitalnego przez p. Lerner, przewodniczącą „Towarzystwa łączności kulturalnej z zagranicą". Pierwszy od prawej poseł polski w Moskwie p. Łukasiewicz. Obok niego ambasador francuski Alphand.



Wieczór polskiej muzyki w Moskwie. Na zdjęciu moment swobodnej pogawędki przed koncertem. Pierwszy od prawej kompozytor sowiecki Glier, czwarty od prawej słynny grafik Krawczenko, który bawił niedawno w Polsce. Siódmy od prawej kapelmistrz Grzegorz Fitelberg. Obok niego po lewej widoczny Karol Szymanowski. Drugi od lewej pianista Sztompka. Zdjęcia „UNION-BILD".



W otwarciu wystawy wzięli udział oficerowie polscy, bawiący podówczas w Moskwie. Na zdjęciu płk. Rayski, obok niego po lewej Alknis, szef floty powietrznej sowieckiej, po prawej Eidemann, przewodniczący komitetu do popierania lotnictwa i obrony chemicznej.



Grupa sowieckich pisarzy na wystawie polskiej w Moskwie. Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: Judin, sekretarz Związku Pisarzy sowieckich, obok Wera Inber, Stawski i Tarassow-Rodjonow.

DEKORACJA W TEATRZE PARYSKIM.

Korespondencja własna „Światowida“.

Paryż, w listopadzie.

Jakiemi drogami podąża teatr we Francji? Jaką analogję możnaby przeprowadzić z teatrem w Polsce? Co w teatrze francuskim uderza przybysza z Polski? Takie i inne pytania nasuwają się mimowoli, gdy znajdziemy się nad Sekwaną. Przedewszystkiem są różne kategorje teatrów w Paryżu. Państwowe (Opera, Opera Comique, Odeon, Comédie Francaise...) wiekowe, poważne, w gmachach monumentalnych, lecz często z posmakiem starzyzny i równoległym brakiem postępu w urządzeniach. To teatry, klasyczne, prawdziwe francuskie, najbardziej wolne od naleciałości. Potem odrębną kategorję stanowią teatry t. zw. bulwarowe, poświęcone repertuarowi międzynarodowemu, lekkiemu, bez poziomu, przeznaczone zwykle dla cudzoziemców, stanowią prawdziwy barometr kryzysowy: powstają one w epoce ożywionej turystyki, zamieniane są na kina w latach chudych. Kategorja odrębna — to awangarda, najbardziej międzynarodowa, najbardziej charakterystyczna przez mięszaninę idei, płodozmian wysłanników z różnych stron świata. Barwny i bogaty music-hall stanowi kategorję „a part“.

W tych warunkach Paryżanin dobiera sobie teatr do gustu. Cudzoziemiec, nieświadomy — często błądzi, z gustem własnym szuka teatru — rozczarowany wpada tak, czy inaczej, zmuszony wreszcie dostosować swój gust do sali napotkanej...

Jaką rolę w tym paryskim świecie teatralnym odgrywa dekoracja? Pod tym względem przełom stanowi rok 1919 — data przybycia baletów rosyjskich i wielkiego Leona Baksta. Jego „Szeherazada“ była pod względem dekoracyjnym rewolucją. Tutejsze muzeum Sztuk Dekoracyjnych zachowało makiety dla upamiętnienia owej daty.

Potem cała plejada dekoratorów-indywidualistów czy rewolucjonistów, którzy nie zdołali stać się prorokami w krajach rodzinnych, znaleźli gościnne przyjęcie w stolicy świata — Bakst, Aleks. Benois, Korowin, Gołowin, Dobuziński, Roerich, Sapunow i in. w Rosji. Orlik, Stern, Erler, Pirchan i in. w Niemczech. Maurice Denis, Piot, Dethomas, Dresa, Charles Granval we Francji, zaczęli tworzyć pomysłowe dekoracje, walczyć o prostotę, kolor, stylizację. Paryż był terenem ciągłych tarć, wymian, dyskusyj, eksperymentów.

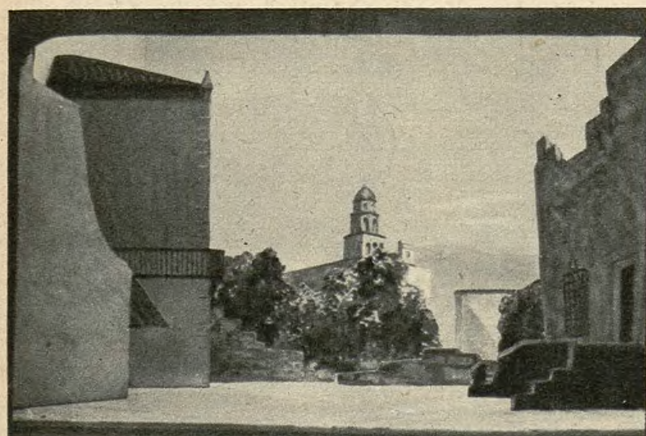
Z końcem wojny ruch międzynarodowy (znajdujący stałe ujście w Paryżu) ożywił się. Picasso, Derain, Braque, Fernand Leger odsunęli sztalugi, by malować w przestrzeni sceny. Balety szwedzkie Rolfa de Marre odkryły wiele nowych talentów (on też później stworzył operę rosyjską w Paryżu z nowym sukcesem). „Volpone“ Barsacqa, mimo pozornej „bierności“, zdobyła ogólny poklask. Paul Colin poświęca się teatrowi i nadal mu służy. „Łysa mysz“ Sudekina i Remizowa każrazowo ściągała w Paryżu tłumy.

Nazwiska Drabika, Frycza, Śliwińskiego, Granowskiego i Pronaszków spotkały się tu z równym entuzjazmem, jak tylu innych cudzoziemców. Przypomnijmy, że wystawa sztuki teatralnej dwa lata temu była sensacją dnia Paryża.

I na tym międzynarodowym podkładzie pracuje Copeau, Antoine, Dullin z armją dekoratorów i inni kierownicy grup, tworzący jednocześnie i dekoracje (Baty, Pitoeff, Jouvet). „Knock“ Jouveta, „Zbrodnia i kara“ Gastona Baty, Święta Joanna Pitoeffa — to arcydzieła.

Z powyższego chaosu nazwisk trudno wyłowić kierunek czy drogę. Paryż nie znalazł ostatnio teoretyka tak twórczego, o umyśle tak jasnym, pełnym nowych idei, jakim jest naprzykład Tadeusz Peiper. Przybysz polski nieraz wzdycha do dekoracji „Teatru Polskiego“ czy „im. Słowackiego“. Paryż gubi się we własnem bogactwie i różnorodności. Na skrzyżowaniu dróg wiodących ze wszystkich stron świata — cierpi na niedotrawienie. Łatwość krytyki (lub przynajmniej jej części), snobizm tłumu, pogoń za nowinkami stają się tu nieraz przyczyną nieprzemyślanych i niekulturalnych poczynań.

Z. Frenkiel.



Projekt dekoracji, reprezentujący dawny kierunek realistyczny dzisiaj przebrzmiały.



Projekt dekoracji do „Cara Saltana“, konwencjonalny i banalny.

FELJETON LITERACKI.

Gdy czytam Przybyszewskiego...



Stanisław Przybyszewski. Zdjęcie z marca 1927 r.

Porozumienie się generacji współczesnej z poprzednią jest zawsze rzeczą nader trudną i stąd synowie prawie nigdy nie są w zgodzie ze swoimi ojcami. Ale jeszcze trudniej dojść do owego porozumienia, gdy pomiędzy generacjami stanie fakt tak przewracający wszystko i burzący, jak wojna, która nakreśliła czerwoną granicę pomiędzy pokoleniami. Ona to zmieniła skalę odczuwania, ona zmniejszyła ogrom osobistego cierpienia i kazała skromniej patrzeć na osobiste wzruszenia. Tragedja własnego „ja“, psychiczne „męczarnie“, wielkie słowa, szumna poetyczność — to wszystko doznało pognębienia przez prosty a straszny zarazem fakt wojny.

Dystans pomiędzy stylem wyrażania się i odczuwania poprzedniego pokolenia a pokolenia obecnego nigdzie może w literaturze polskiej nie rzuca się tak jaskrawo w oczy, jak przy lekturze dzieł Stanisława Przybyszewskiego. Ten wielki mistrz słowa i nastroju, który przed laty magnetyzował Polskę i wzbudził w Krakowie prawdziwą rewolucję, niezwykle szybko usunął się w cień, aby stać się pisarzem, czytanym dziś bardzo rzadko i że tak powiemy — pokątnie. Jego głośne ongiś powieści, które zapalały wyobraźnię młodzieńców, jego opisy szarpań się, jego chorobliwe zagłębianie się w tragedjach serca — to wszystko stało się dla nas dziwnie obce, dziwnie napuszone i dziwnie teatralne.

Lektura dzieł Przybyszewskiego staje się chwilami niepokojąca przez tę właśnie obcość, ten dystans, jaki odczuwamy w stosunku do autora. Wydaje nam się, że pomiędzy nami a twórcą „Dzieci szatana“ leży nie 20 czy 30, ale kilkadziesiąt lat.

Dzisiaj, gdy epoka Młodej Polski i t. zw. dekadentyzmu odsuwa się od nas coraz bardziej i gdy zyskujemy z dnia na dzień coraz dokładniejszą perspektywę i coraz lepsze zrozumienie rozlicznych sprężyn, jakie działały w tym okresie, zaczynamy pojmować coraz lepiej, na czem wyrósł ów ruch i jakie były jego pobudki. Nie ulega wątpliwości, że nastroje dekadenckie, jakie panowały wtedy w Europie, wynikły z pewnej stagnacji życia ogólnego, z faktu, że nic wokoło się nie działo. — Po wstrząsie wojny 1870 r. przyszła era pokoju i zbijania majątków przez społeczeństwa zachodnio-europejskie. Dobrobyt rozpoczął rozleniwiać zarówno jednostkę, jak i narody. Okazuje się bowiem, że spokojny dosyt i dobrobyt nie są dobrą szkołą ani dla indywiduum ludzkiego, ani dla zbiorowości.

W tym nastroju martwego spokoju i otępienia trzeba było wytworzyć sztucznie choćby podniety i wstrząsy, poszukać dreszczów, któreby potrafiły wzruszyć znudzony organizm psychiczny. I rozwija się ruch literacki, rozbudowany w sekretach psychiki, ruch o zakroju satanistycznym, pełen urojonych i sztucznych dramatów. Nastroje te wspomagane są alkoholem i narkotykami, a mają w sobie ustawicznie element teatralności i sztuczności. Poza i udawanie urzędowe obnoszenie swego smutku, „cierpienia kosmiczne“, rozmiłowanie się w wiwisekcji własnych uczuć — oto ówczesne zajęcia artystów i literatów.

Dzisiaj te wszystkie „kompleksy“ wydają nam się jałowe i dziwnie dziecinne. Te straszliwe dramaty uwiedzionych, ci genjusze zapoznani, to szamotanie się i pasowanie, te nerwowe ruchy, te metafizyczne tęsknoty — nabierają dla nas, wychowanych w twardej szkole wojny, zupełnie odmiennego zabarwienia. Ci ludzie, którzy nie umieją sobie dać rady z najprostszemi problemami i szarpią się niepotrzebnie w matni wymyślonych przez siebie dramatów, wydają się nam dzisiaj neurastenikami, ludźmi chorymi, wyolbrzymiającymi trudności życiowe. Nad temi wszelkiemi kwestjami przeszła wojna żelazną stopą, ucząc nas powściągliwości w wyrażaniu się i nieprzesadzaniu w słowie.

Nadmiar słowa, jaki przelewa się w książkach owego okresu, jaki spotykamy ustawicznie na kartach powieści Przybyszewskiego, brzmi dla nas dziwnie obco, nie pozwalając pochwycić właściwego sensu. To chorobliwe rozmiłowanie się we własnych tragedjach, to biadanie nad sobą, to załamywanie rąk nad drobnemi zdarzeniami, ta nieporadność — to wszystko wydaje się obce dzisiejszemu pokoleniu, które zakosztowało hartu na bieżniach sportowych, zyskało tężyznę w górach, czy na rzekach i patrzy prościej w oblicze życia.

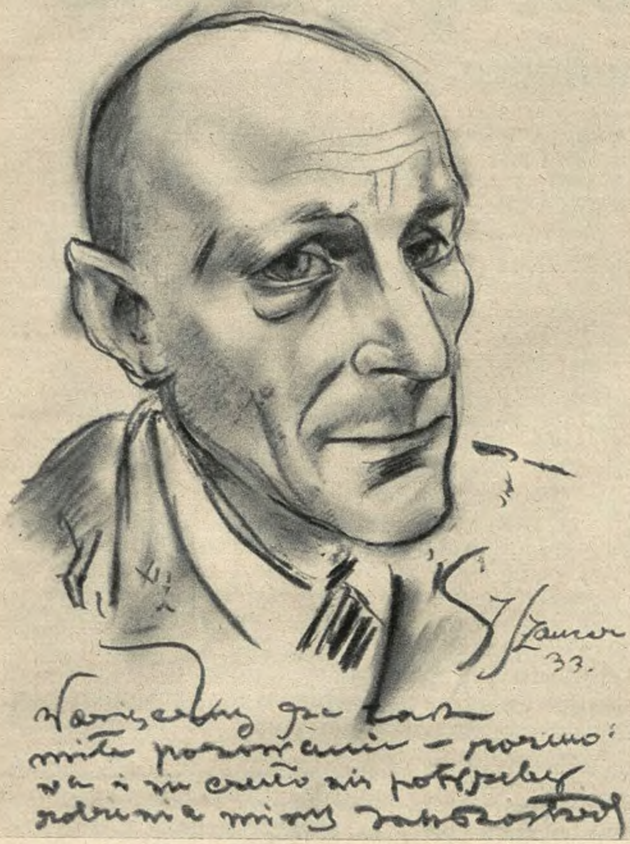
Dramaty erotyczne, które przepełniają utwory Przybyszewskiego, zmalały również mocą przemian życia i przez fakt wojny do znacznie prostszych wymiarów. Przesunięcie obyczajowe spowodowane wojną, praca zarobkowa kobiet, zainteresowanie się kobiety sportem, koleżeństwo płci obojga i usamodzielnienie się dziewcząt, musiało siłą rzeczy zredukować do śmiesznych nieco proporcyj te przesadne tragedje, w których kobieta, z zasady nieproduktywna i nic nie robiąca, zachowywała się albo jak dziecko, albo jak złowrogi wampir. Dzisiaj pomiędzy temi dwoma typami poznaliśmy całą skalę typów pośrednich, a wampirowatość kobiet nie przestrasza nas już tak bardzo.

Na tle spokoju, jaki panował w ówczesnej Europie, na tle braku zdarzeń, psychika artysty wytężała się na wszelkie sposoby, aby znaleźć jakieś dreszcze i emocje. Życie współczesne przytłacza nas taką mnogością zdarzeń, stawia nas wobec tak ciężkich problemów, iż musimy zapominać o własnych kłopotach i nie mamy czasu na przesadne tragedje wewnętrzne. Nauczyliśmy się określać mniejszą ilością słów nasze cierpienia, a powieści współczesne, zwłaszcza powieści wojenne, pisane są ze znamienną powściągliwością. Chorobliwe nastroje przybyszewszczyzny są dla nas tylko materjałem historycznym i porównawczym, ale nie potrafią wzruszyć nas i pociągnąć.

Powieści Przybyszewskiego uległy w szybkim czasie niezwykle krańcowemu przewartościowaniu. Dramaty jego mogłyby jeszcze przy pewnych skrótach i przemianach ożywić się na deskach scenicznych. Rzecz charakterystyczna, że najbardziej odpornemi na działanie czasu okazały się jego najwcześniejsze utwory, pisane w języku niemieckim. Historja, która tasuje sławę, zmienia sądy współczesnych w sposób nieraz bardzo drastyczny, wynosi jednych a pogłębia drugich — zastosowała wobec Stanisława Przybyszewskiego niezwykle szybko swoje korektury. Człowiek, ktory w oczach swoich współczesnych uchodził za genjalnego twórcę o niezniszczalnych walorach, jest dla nas przedewszystkiem arcyciekawą osobistością, wielkim hipnotyzerem, którego utwory artystyczne nie wytrzymały próby czasu. Tem ciekawszy staje się dla nas Przybyszewski-człowiek, jedno z najbardziej fascynujących zjawisk, nietylko naszej literatury, ale i naszego życia zbiorowego, człowiek, w którego sercu życie wyżłobiło głęboką rysę i którego tragedja osobista złamała na zawsze. Spotkawszy się w życiu własnem z tragedją, nie potrafił jej się oprzeć, choć znał tak świetnie technikę tragedyj urojonych.

Z. G.

GODZINA Z K. H. ROSTWOROWSKIM



Szkic portretowy K. H. Rostworowskiego.

Rysował Jan Szancer.

Jest godzina 5 min. 5. Salwator tonie w wieczornej, wilgotnej mgle. Na zakręcie wspinającej się w górę uliczki opalizuje latarnia...

Willa w małym, smutnym, zmokniętym ogródku...

— Jeżeli... — mówi Rostworowski, jeżeli wszyscy w co nie wątpię, okażą dobrą wolę i będą pracować, Akademja stanie się niezwykle ważną i pożyteczną instytucją. Wierzę, że z tego coś będzie i chociaż sam narazie zdaleka... zawsze jestem z nimi myślami.

Patrzę na bladą, w tragiczną maskę wyrzeźbioną twarz Rostworowskiego i usta, wygięte pogodnym dyssonansem uśmiechu.

Pisano o mnie, że już wyzdrowiałem, ciągnie dalej Rostworowski, niestety nie jest jeszcze tak dobrze i nieprędko...

Próbuję oponować...

Nie, nie, niestety nieprędko. Przeprowadziłem się tutaj na Salwator, aby mieć świeże powietrze i weranduję po kilka godzin rano i popołudniu. O pracy naturalnie prawie niema mowy. Nie mogę też myśleć o wyjeździe do Warszawy. Na razie Akademja literatury ma mi założyć w mieszkaniu telefon, abym w ten sposób był w stałym kontakcie ze salą obrad. Zajmują mnie bardzo te sprawy...

Rostworowski zapala się, zaczyna mówić głośno, z ożywieniem. Widzi pan, tu chodzi o bardzo ważne rzeczy, rozdawnictwo nagród, stypendjów, wydawnictwa, szkolnictwo. Chciałbym we wszystkiem zabrać głos... Może jak wyzdrowieję... pojadę.

— A jak się pan zapatruje na skład Akademji?

— Sam będąc jej członkiem, nie mam zamiaru krytykować moich kolegów. Solidaryzuję się z nimi w zupełności. Naturalnie wolałbym, żeby... między nami znalazł się jeszcze Emil Zegadłowicz. Należy mu sę to. Uważam jego „Powsinogi beskidzkie" za jedną z najkapitalniejszych rzeczy w nowej poezji polskiej. Chciałbym też widzieć w Akademji Marję Dąbrowską, niezwykły talent powieściopisarski... Co do zarzutów stawianych niektórym literatom, że w danym momencie nie tworzą, uważam je za bezpodstawne. Dali oni już w ciągu długich lat dostateczne dowody pracy literackiej i znawstwa kultury. A o to przecież chodzi, zasłużyli więc sobie w zupełności na miejsce w Akademji.

W trakcie rozmowy wyciągam węgiel i szkicownik i proszę Rostworowskiego o pozwolenie naszkicowania portretu, ale tak bez pozowania, w rozmowie... Rysuję i słucham.

Rostworowski opowiada teraz o swojem ostatniem dziele, o „Czerwonym marszu".

— Nie dokończę go niestety w tym roku, jestem zbyt zmęczony. Niemniej dotychczas ukończony fragment ma być wystawiony w tym roku w teatrze krakowskim. Rzecz prosta, że nie wypełniłby on całego wieczoru, proponowałem więc dyrekcji Teatru wystawienie go razem z „Miłosierdziem", ale tak, jak ja to sobie wyobrażam. Mianowicie musiałoby być grane bez przerwy, w jednolitej całości i spektakl trwałby wtedy równe 5 kwadransy. Obliczyłem to z matematyczną dokładnością. Piszę zawsze moje sztuki nieomal z zegarkiem w ręku. Co do inscenizacji, to chciałbym, ażeby reżyser i dekorator oglądnęli sobie akwaforty Goyi. Z nich to właśnie zaczerpnąłem zewnętrzną formę dla „Miłosierdzia". Wyobrażam sobie, że cała scena powinna być utrzymana w jednolitym, bronzowo-szarym tonie, tak, że figury aktorów, ucharakteryzowanych na groteskowe postacie Goyi, nie odcinałyby się kolorem, ale walorem graficznym od tła.

Szkic portretowy jest gotów i Rostworowski kreśli pod nim kilka słów. Rozmawiamy jeszcze chwilę, a potem żegnam mojego gospodarza, życząc Mu najrychlejszego powrotu do zdrowia. **Jan Szancer.**

„HALKA" W BELGRADZIE.

Na uroczystość 15-lecia odrodzonej Polski Teatr Narodowy w Belgradzie wystawił po raz pierwszy wogóle „Halkę" Stanisławą Moniuszki. Główna zasługa należy się naszemu rodakowi p. Stanisławowi Drabikowi, który jako pierwszy tenor tego najwybitniejszego w Jugosławji teatru operowego, zajął tam bardzo poważne stanowisko, nie zapominając nigdy o propagowaniu sztuki polskiej. Więc i do „Halki" uzyskał autentyczne kostjumy dla dwóch pierwszych partyj (Halka i Jontek), a wykonaniem innych w pracowni teatralnej sam osobiście kierował. Przedstawienie. odbyte w obecności najwyższych przedstawicieli



Ksenia Rogowska w roli Halki i Stanisław Drabik jako Jontek.

rządu jugosłowiańskiego, miało charakter wysoce uroczysty, a było przytem wielkim sukcesem artystycznym. P. Drabik śpiewał Jontka, zyskując entuzjastyczne oklaski, zarówno po sławnej arji: „Szumią jodły na gór szczycie...", jak i po trzecim akcie. Doskonałą była p. Ksenia Rogowska jako Halka, na wysokości zadania stanęli i inni wykonawcy, pp. Ertl jako Janusz, Pichler jako stolnik, a orkiestra pod kierunkiem dyrektora Hristicza oddała w pelni wszystkie walory artystyczne partytury. „Halka" nie była jedynie przy tej uroczystej okazji przedstawiona, lecz weszła do stałego repertuaru opery belgradzkiej i po dniu 11 listopada już dwukrotnie została powtórzona.

DWIE „SŁAWY" PARYSKIE.



Pierwsza to Cécile Sorel, w życiu prywatnem hrabina de Ségur do niedawna gwiazda pierwszego we Francji teatru dramatycznego, sławnej „Comédie Francaise" w Paryżu. Niepierwszej już młodości, ale w oczach paryskiej publiczności teatralnej, więcej mającej pietyzmu, niż np. nasza, to nigdy nie przeszkadza. Wszak stara Sarah Bernhardt, nawet już po amputowaniu jej jednej nogi, była aż do schyłku swego życia bożyszczem paryskiej publiczności teatralnej, a słynna diva music-hallu Mistinguett też już dość latek sobie liczy. Cécile Sorel postanowiła przejść do historji teatru francuskiego i jako Sarah Bernhardt i jako Mistinguett: po triumfach na deskach „Komedji francuskiej" przeszła do pierwszorzędnego paryskiego music-hallu „Casino de Paris", gdzie znowu święci triumfy, może nawet jeszcze większe. A obok niej na naszem zdjęciu Maks Reinhardt. Także sława europejska. Znakomity reżyser, słynny zwłaszcza z tego, że oryginalnym układem scenicznym w stare sztuki teatralne wlewał nowe życie, musiał opuścić Niemcy, zasadom hitlerowskiego rasizmu nie odpowiadając... Jest teraz w Paryżu i tutaj, a pewnie także i w Londynie i w Ameryce popisywać się będzie tem, czem w swej ojczyźnie już popisywać się nie może. Rozumiejąc doskonale, że nawet i jemu porzebna jest reklama, urządził w teatrze „Pigalle" w Paryżu wspaniałe przyjęcie, na które zaprosił cały polityczny i artystyczny „świat" paryski i — oczywiście — dał się fotografować razem z największą obecnie sławą paryskiej sceny, z panią Cécile Sorel, hrabiną de Ségur.

„CRICOT" NOWY TEATRZYK KRAKOWA.



W ostatnich czasach uruchomiono w Krakowie nowy teatrzyk pod nazwą „Cricot", posiadający charakter wybitnie eksperymentalny, będący odpowiednikiem szeregu podobnych teatrzyków młodej generacji literatów, malarzy i aktorów, istniejących już oddawna w Paryżu, Berlinie, czy nawet w Pradze.

Na pierwszy ogień poszła sztuka artysty malarza Józefa Jaremy p. t. „Drzewo świadomości" w reżyserji dr. Wład. Dobrowolskiego. Sztuka wystawiona w Domu Artystów (na zdjęciu), spotkała się z żywem zainteresowaniem. Ciekawą atrakcją tego surrealistycznego widowiska scenicznego, określonego przez świetnego conferenciera T. Cybulskiego, mianem „czystej zabawy kulturalnej" — były oryginalne maski proj. Wicińskiego — potęgujące znakomicie wrażenie całości. Ilustrację muzyczną skomponowali Leo i Meyerhold.

O ile nie we wszystkich momentach można się zgodzić zarówno z autorem, jak i wykonawcami, to jednakże należy podkreślić z uznaniem inicjatywę krakowskich malarzy i literatów, dążących do ożywienia i rozwiązania zagadnienia teatru eksperymentalnego w Polsce.

Teatrzyk „Cricot" w najbliższej przyszłości zamierza wystawić m. i. sztuki Czyżewskiego, Jaremy, Jalu Kurka, Witkiewicza i in.

EMIL AMMANN.

W służbie najbogatszej kobiety świata.

4

Sensacyjny reportaż szofera Miss Rockefeller.

Ani rusz nie mogłem wytłomaczyć mojej pani, że nasze zbiorniki benzyny są puste, że wyczerpały się także zapasy w kraju i że rząd szwajcarski ograniczył przydział materjałów popędowych tylko do wojskowości i urzędników, lekarzy i członków korpusu dyplomatycznego.

Pani Rockefeller nie troszczyła się nigdy o takie bagatelki! Nie mogła żadną miarą zrozumieć, że w niektórych sytuacjach nawet złoto było bezsilne. W tych kłopotach wpadłem wreszcie na pomysł poszukiwania benzyny wprost u źródła. Tem źródłem była firma Rockefellera w Chicago, którą rządził najdostojniejszy rodzic mojej pani, król nafty. Zamówiłem benzynę — i transport nadszedł niebawem.

Wyłoniły się jednak nowe trudności. Władze szwajcarskie sprzeciwiły się importowi. Zwróciłem się do sztabu generalnego i zaoferowałem na rzecz wojska sprzedaż połowy benzyny po cenie 17 sous za litr. To poskutkowało. Zważywszy, że ówczesna cena benzyny wynosiła w Szwajcarji aż dwa franki za litr, władze nieomieszkały skwapliwie skorzystać z mojej oferty. Zaczem udało mi się pomału zgromadzić blisko 60.000 litrów benzyny. Do tego dołączyły się opony i inne części składowe, które sprowadzałem również wprost z Ameryki.

Te i podobne transakcje, podejmowane z polecenia pani Rockefeller, zbliżyły mnie do kół, w których pod maską życia towarzyskiego prowadzoną było wojna na śmierć i życie.

Zurych był w owym czasie centrum szpiegostwa światowego. We wszystkich kawiarniach, hotelach i kątach miasta roiło się od agentów, którzy za grube sumy sprzedawali swoich bliźnich. Wzorem pająków gęstą siecią osnuwali swych przeciwników. Często widywałem wrogów i przyjaciół w pozornej zgodzie za stołem karcianym, co nie przeszkadzało, że nazajutrz każdy z nich gotów był swego partnera wydać w ręce nieprzyjacielskiej służby defensywnej. Znałem ich kryjówki, miejsca ich schadzek i piękne ich agentki-kusicielki.

„Główną kwaterę“ bataljonów szpiegowskich stanowiły tak zwane „biura propagandy“ państw wojujących. O rozmiarach i zasięgu ich działalności można sobie wyrobić pojęcie, jeśli się zważy, że codzień przeciętnie tysiące obcych przyjeżdżało i wyjeżdżało z Zurychu. Wśród 26.000 „dekowników“ i dezerterów, którzy wówczas przebywali w Szwajcarji, nie brakło oczywiście licznych awanturników bez grosza w kieszeni, którzy za pieniądze podejmowali się chętnie każdego zlecenia.

W pierwszym rzędzie chodziło tym szpiclom o zdobycie szczegółów w sprawie dyslokacji wojsk, przygotowań do ofenzywy i stanu aprowizacji państw wojujących. Z jaką zaś chytrością postępowali, okaże następujący fakt, którym w czasie mego pobytu w Zurychu zajęły się sądy szwajcarskie.

Oficer francuski, nazwiskiem Mougeot, który celem „rekonwalescencji“ przybył do Szwajcarji, skorzystał z wywczasów, aby kilku niemieckich uciekinierów zwerbować do roboty wywiadowczej. Z ich pomocą zorganizował regularną służbę szpiegowską przeciw Niemcom. Nie poprzestał jednak na zbieraniu informacyj o przesunięciach wojsk na froncie zachodnim, lecz próbował wysadzić w powietrze elektrownię w Waldshut. Policja szwajcarska wykryła jednak te przygotowania, a cała szajka wraz z szefem ratowała się ucieczką. Mougeot sam zbiegł ze szpitala, gdy tylko od jednego ze swych agentów dowiedział się, że grozi wsypa. Sąd szwajcarski skazał go pod jego nieobecność na 10 lat ciężkiego więzienia.

Podobne procesy większej lub mniejszej wagi zaprzątały bez przerwy władze sądowe. Publiczność jednak niewiele o nich słyszała, bo rozprawy toczyły się zawsze przy drzwiach zamkniętych. W każdym razie rzucały one na dłuższy czas naprzód swój cień ostrzegawczy, bo co chwila całe gniazda szpiclów znikały nagle z widowni, jakby zmiecione huraganem.

Obok drobnych płotek także grube ryby pełniły swą smutną służbę w Szwajcarji. M. in. krawcowa Margreit Francillard, która w styczniu 1917 r. rozstrzelana została w Paryżu. Dalej niejaka Tichelly, kochanka niemieckiego szpiega Walthera, skazana we Francji na dożywotnie więzienie.

Pamiętam również dobrze włamanie do austrjackiego biura wywiadowczego w Zurychu. Pewnego rana Austrjacy ku swemu przerażeniu stwierdzili, że wielka kasa ogniotrwała w ich biurze została rozpruta i dokładnie wyprzątnięta. Oprócz pieniędzy, dokumentów szpiegowskich i spisu agentów, także klucz szyfrowy wpadł w ręce włamywaczy. Dopiero znacznie poźniej od jednego z kolegów zawodowych, który zajmował się także szpiegostwem, dowiedziałem się, że sprawcą włamania był Włoch, który zrabowane pieniądze otrzymał jako premję.

Jak widzimy, armja agentów wszystkich państw, którzy wzajem się szpiegowali i zdradzali, była dobrze zorganizowana.

Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało, że i mnie pewnego dnia zagarnęły macki tego systemu wywiadowczego. Świadomy jestem tylko, że stykałem się niekiedy z panem M., o którym wiedziałem, że był agentem niemieckim.

Otóż ów pan M. uważał mnie niewątpliwie za francuskiego szpiega. Bo dnia pewnego dał mi do zrozumienia, że posiada ważne dokumenty, które, gdyby dostały się do rąk francuskiego sztabu generalnego, sprowadziłyby katastrofę dla Niemiec. Podkreślając wagę tej informacji, pokazał mi kilka fotografij i planów składów amunicji nad Renem.

— Ciekawa rzecz — odpowiedziałem mu — że mam znajomego, który dawno już temu dostarczył te plany memu służbodawcy. Zdaje mi się nawet, że pańskie dokumenty znane są także amerykańskiemu sztabowi generalnemu w Paryżu.

Agent zmieszał się. Zmiarkował widocznie, że go przejrzałem. W każdym razie było mu bardzo przykro, że nie dałem się wziąć na lep.

Czy miałem mu odpłacić pięknem za nadobne? Sposobność nadarzyła mi się niebawem, bo z ust francuskiego agenta usłyszałem, że pan M. w tajnej misji jechać ma do Anglji. Łatwoby mi przyszło zadenuncjować go u władz granicznych, bo wiedziałem, że podróżować będzie z paszportem amerykańskim.

Ale nie zależało mi na tem, aby tę ofiarę przeklętego systemu szpiegowskiego, zorganizowanego za wolą i wiedzą wszystkich rządów Europy, wydać na śmierć. Ostrzegłem tedy zawczasu niemieckie biuro w Zurychu i pan M. nie pojechał do Anglji. Żyje jeszcze dziś jako dyrektor poważnej firmy w Zurychu.

Co się tyczy mojej skromnej osoby, nie pamiętam, jakobym był przez innych szpiegów podejrzywany, albo podejmował się jakiejś roboty. Mimo to nazwisko moje musiało figurować na czarnej liście aljantów.

Dnia pewnego, gdy zamierzałem w Bellegarde zaopatrzyć się właśnie w benzynę, zostałem przez francuską policję wojskową zaaresztowany jako szpieg niemiecki.

— Mamy cię nareszcie, mon cher ami! — zawołał komisarz, widząc moje zdumienie.

Widocznie wziął je strach przed śmiercią, i swoim pomocnikom oznajmił, że złapał dobrego ptaszka. Moje częste przejazdy przez granicę na zlecenie „bogatej Amerykanki“ wydawały mu się oddawna już bardzo podejrzane. Nie wzruszały go też wcale moje protesty i oświadczenia, że jestem szoferem w służbie pani Rockefeller. Był przekonany o mojej winie, a wiadomo, jak wówczas postępowano ze szpiegami; więzienie, sąd wojenny, wyrok śmierci. Obrona była trudna, dowodów przeciwnych zwykle nie można było dostarczyć, bo panował stan wojenny. Doniesienie ze strony zaufania godnej osoby wystarczało w zupełności. Czy i mnie miała być teraz nagle śmierć sądzona?

Nie, na szczęście miałem listy przy sobie, których treść mnie uniewinniała, zadając kłam donosicielowi. Były to listy francuskich lotników Gilbert, Madon, Martin i Pary, którzy byli w Szwajcarji internowani i którym, jako że to byli starzy moi druhowie, chciałem dopomóc do ucieczki. Te listy uratowały mnie. Komisarz, przeczytawszy je, wypuścił mnie zaraz na wolność. Ale coby się było stało, gdybym te niezaprzeczone dowody mego filofrancuskiego nastawienia pozostawił był z ostrożności w Zurychu?

Spotkałby mnie los podobny jak owego zurychskiego obywatela, Roberta Brüggera, który w tym samym czasie został we Francji uwięziony pod zarzutem szpiegostwa i skazany na śmierć. Dopiero po długich rozpaczliwych zabiegach udało mu się uzyskać rewizję wyroku, która wykazała jego całkowitą niewinność.

Puściłem jednak rychło w niepamięć tę pouczającą przygodę, bo w kilka dni potem pani Rockefeller oznajmiła mi:

— Ammann, przyzwyczaiłam się już do podróżowania samochodem. Ale doktor X sądzi, że trzeba teraz, abym się nauczyła jeździć koleją. A więc zawiezie mnie pan jutro na dworzec. Pojadę pociągiem, który o godz. 9 odchodzi do Rapperswillu. Pan pozostanie na peronie, aż do odjazdu pociągu, poczem jednak pojedzie pan samochodeme w ślad za pociągiem z jak największą szybkością. Musisz pan postarać się, abyś na każdej stacji był wcześniej od pociągu, bo ja prawdopodobnie... nie będę mogła daleko pojechać...

Stało się, jak mi kazała. Zawiozłem moją panią na dworzec, obserwowałem z pewnej odległości jak wsiadła do pociągu, i czekałem na sygnał odjazdu. Wszystko szło według programu. Ale na pierwszy gwizd otwarły się nagle drzwi wagonu i z przedziału wypadła, nie, wyleciała, pani Rockefeller. Konduktor zdążył jeszcze w porę, aby ją pochwycić w ramiona.

— Ammann, — rzekła do mnie, gdy trochę ochłonęła, — dzisiaj nie pojadę, ale może jutro. Wracam piechotą do hotelu. Niech pan jedzie za mną krok w krok jak zwykle. Zrozumiał pan?

Nazajutrz powtórzyła się ta sama scena: jazda na dworzec, wejście do przedziału, minuty oczekiwania, wyskoczenie tuż na sekundę przed ruszeniem pociągu.

Wreszcie po południu po dłuższej konferencji z lekarzem X, zdecydowała się pani Rockefeller na nową ostateczną próbę.

I tym razemr zeczywiście odjechała. Wsiadłem czemprędzej do samochodu i popędziłem w kierunku dworca w Stadelhofie, stacji ostatniej przed Zurychem. Gdym stanął przed dworcem, ujrzałem już pociąg, który właśnie nadjechał. Pani Rockefeller otwarła okno i krzyczała przenikliwym głosem:

— Jadę dalej! Słyszy pan, Ammann, jadę dalej! Ale pan musi bezwarunkowo prędzej jechać. Pan musi być na każdej stacji przed pociągiem! Zrozumiał pan?

Zrozumiałem, ale łatwo to tak gadać. Szosa po prawym brzegu jeziora zurychskiego była wówczas wąska, a bardzo ożywiona. Musiałem jechać z szybkością przeszło 100 km. na godzinę, aby wyprzedzić pociąg. Była to jazda na złamanie karku. Ale jakoś dałem sobie radę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Groźna rywalka Grety Garbo.

na widok np. trzynastoletniego chłopczyny z odstającemi uszyma i wystraszonemi oczyma głupkowatego dziecka...

Chłopiec pochodził z małego miasteczka — pod Częstochową i poprostu uciekł z domu, ściągnąwszy ojcu kilkaset złotych... Dzieciakowi temu kierownicy „Empefilmu“ — wmówili talent „charakterystyczno-komiczny“, obiecywali mu, że zaćmi Charlie Chaplina i Buster Keatona. Miał kręcić główną rolę w specjalnie dla niego napisanej komedji. Wszystko to opowiadał mi, jąkając się z dziecinną naiwnością...

Albo taka przywiędła, nieładna, grubokoścista żona kowala z Siemianowic, wierząca niezłomnie, że ma wszelkie warunki na rywalkę Poli Negri czy Grety Garbo...

Porzuciła męża, dziecko, gospodarstwo, zabrała z domu oszczędności pieniężne, które w ciągu kilku tygodni stopniały w rękach sprytnych „kombinatorów“ filmowych. Co prawda, przyszedł im w pomoc upór tępy tej kobiety. Gdy już przekonała się, że to wszystko było tylko oszustwem — nie zrezygnowała jeszcze ze swoich zamierzeń.

— To byli oszukańce — oświadczyła mi — ale ja zaś do Berlina pojadę, bo muszę być jako gwiazda... W Siemianowicach rzekali mi — jako punkt w punkt — podobna jestem do Brygity Helm...

Również piegowaty blondynek, subjekt ze sklepu Kółka rolniczego z jakieś wsi na Wołyniu — w żaden sposób nie chciał pogodzić się z tem, iż nie będzie następcą Rudolfa Valentino... i dopytywał się gwałtem, czy niema jakiejś innej szkoły filmowej, któraby z niego zrobić mogła „gwiazdora“...

Był to syn zamożnego podobno gospodarza wiejskiego, który miał możność wydobycia z domu pieniędzy.

Sikorowicz i jego towarzysze z „Empefilmu“ odznaczali się — trzeba to przyznać — zrozumieniem psychologji ludzi naiwnych, prostaków... Umieli ich łudzić, grać na strunach ich próżności i głupoty...

Jakże ponętnie obmyślali tytuły filmów, które rzekomo miały być nakręcane:... „Sielanka plant krakowskich“, „Hangar Nr. 7“...

I kręcono gorliwie — aparatem, w którym nie było taśmy... Obiecywano tym niefortunnym adeptom do laurów srebrnego ekranu — złote góry, wspaniałe „engagements“ nietylko do filmów polskich, ale i zagranicę, do Ameryki — do Hollywood...

Kiedy w Krakowie grunt zaczynał być zbyt gorący — przeniesiono całą akcję do Warszawy... W pewnem atelier na ul. Burakowskiej miano nakręcać ów „Hangar Nr. 7“. A potem opiekunowie ulotnili się, pozostawiając tę gromadkę dzieciaków i prostaków, wśród których było kilka młodziutkich dziewcząt — na pastwę losu...

Grono osób dobrej woli ze sfer dziennikarskich stolicy — zajęło się odesłaniem tej zbłąkanej gromadki — do domów... A epilog rozgrywa się w sądzie!...

J. Migowa.

SZARADA AKTUALNA.

(„Fiat lux!“).

Ułoż. „HAK“ czł. hon. Warsz. Kl. Szar.).

Gdy dyplomacja z trudem się wciąż pora,
By **czwór-piętnastych** nie było znów wojny,
A intrygantów przeszkadza im sfora,
Cała się jawi nam w sposób dostojny,
Pierwsze-czternaście zaświadczyć już światu,
Że u nas piękna nie zagłuszą chwasty,
Że żądni wielkich wzlotów majestatu,
Wchodzim na jasne **dziesięć i dwunaste.**
Siódma-trzynasta krwawi się tu jeszcze,
Zatruta wojny strasznym **czwartym-trzecim,**
Jedenaste-dziewięć te bratnie — złowieszcze —
Trwają, jak trwały... Lecz nowy blask niecim.
Drugiej-dwunastej dosyć bo, zaiste
I **szesnastego-osiem** dość przemocy!
Piątej-dwunastej poetów przeczyste
Dźwięki wchłaniajmy wśród zimowej nocy.
Piąte i **szóste** zaś słońca blaskami
Wyrazy chłońmy swej ojczystej mowy, —
Wszak brud pisarzy polskich nie zaplami,
Pokarm ludowi podadzą już zdrowy.
Niech **cała** naród, jakby dobra Macierz,
Ośm-pięć do łona i pięknie mu gwarzy,
Raz — jak Zagłoba, to znów — gdyby pacierz —
Byle majestat bił jej zawsze z twarzy...
Co z **czternastego** i **siedemnastego**
Ludów o losie wróży?... Myśli biegą —
Strwożone ptaki — niech Wam **cała** powie
Po lat dziesiątku, tak droga, jak zdrowie...
Niech pod Jej pieczą, choćby dziś Jej nierad,
Nie zazna nędzy już żaden literat,
I ma do chleba należną omastę
I nie wie, co **trzynaste-ośmnaste...**

REBUS AKTUALNY.

(Ułoż. L. Ciesielski, czł. Warsz. Kl. Szar.).

Za rozwiązanie niniejszych dwóch zadań Redakcja „Światowida“ przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 9 grudnia 1933 wraz z załączonym kuponem.

W JADŁODAJNI.

P. Izydor jedzie w góry, do Zakopanego. Zakupuje przeto „ekwipunek turystyczny“ w składzie sportowym.

— Jakie buty pan sobie życzy — zapytuje subjekt.

Pan Izydor namyśla się chwilę i mówi:

— Niech mi pan da te buty, no, te od... Giewontu i Krupówki!

PRZEPROSIŁ ŁADNIE.

— Karolku, jak mogłeś powiedzieć wujciowi, że jest głupi! Idź w tej chwili do niego i przeproś go ładnie!

Karolek idzie do wujcia.

— Kochany wujciu, bardzo mi jest przykro, że jesteś głupi — odpowiada malec.

Rozwiązanie z Nr. 46.

SZARADA: Do wszystkiego skory był Stefan Batory.

REBUS: Piętnastoletnia rocznica odrodzenia Polski,

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 46 nadesłali:

Roman Derginman, Wilno; Z. Pieracki, Wilno; Kaz. Lilpop, Warszawa; Czytelnia TSL., Węgierska Górka; Bol. Jurczyk, Krynica; Z. Cegielska, Poznań; Justyna Krasnodębska, Seroczyn siedlecki; J. Krasowska, Lwów; W. Pędzimąż Zakopane; J. Świerczyńska, Lwów; J. Lenartowska, Poznań; L. Lenartowski, Poznań; St. Effert Poznań; Sympatyk Klubu „Enigma“, Poznań; „Maryśka T.“, Kraków; W. Ciepiela, Kraków; Helena Szeląg, Prokocim; Stan. Gawryś, Kraków; Jan Koczwara, Bydgoszcz; kpt. Ludwik Hauschild, Nowy Targ; M. Musiałowa, Poznań; Józef Czołba, Poznań; B. Anolik, Sianowo; M. Marcinkowski, Mirachowo, Gert. Marcinkowska, Mirachowo; Irena Piotrowiczowa, Kraków; R. Katzówna, Brody; M. Soroko, Wilno; Kazimiera Figurowa, Kraków; Hier. Nowicki, Poznań; Stan. Golińska, Wołożyn; J. Moczulanka, Wilno; Lola Dąbkówna, Kraków; M. Szczyrbakówna, Kraków; Stan. Koper, Kraków; Jadwiga Lisowa, Kraków; Z. Słowikowski, Warszawa; inż. J. Gilewicz, Warszawa; H. Mikinowa, Poznań; J. Chęsiówna, Poznań; H. Studzińska, Warszawa; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; J. Maziarz, Ozorków; Zb. Nowak, Frysztak; M. Bugajska, Kłobuck; **Wład Jankowski Żywiec (zł. 20)**; Anna Loeglerowa, Lwów; Filip Schleimer, Stanisławów; Z. Żukowa, Jędrzejów; Tadeusz Kosiński, Lwów; A. Schall, Lwów; J. Stefańczyk, Pabjanice; Janusz Roman, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; J. Tyblewska, Poznań; Sabina Gawłakówna, Poznań; M. Wardęgowa, Poznań; Teofil Sobkiewicz, Poznań; Irena Dobińska, Starogard; S. Kapuzer, Krzemieniec; K. Stankiewicz, Sosnowiec; Kaz. Chendyński, Nowa Wieś; Z. Frączkiewicz, Lwów; Józef Klima, Kraków; Aleks. Cwynar, Kraków; Irena Senze, Żychlin; Fr. Łukaszewicz, Wilno; Stefa Łukasiewiczówna, Brzeżany; Anna Gasperska, Grodno; Stan. Musiał, Długoszyn; Marja Hirschfeld, Węgrów; J. Obtułowicz, Żywiec; **St. Żelazowski, Busko (10 zł.)**; J. Kowalska, Warszawa; inż. J. Modrzejewski, Lublin; „Rozmaryn“, Wilno; Krystyna Täuberówna, Kraków; Marylka z Ino; Grenicheux, Warszawa; „Sak“, Warszawa; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; J. Bielenia, Warszawa; „Wiesław“; M. Peretiatkowicz, Łuck; St. Marynowski, Łódź; „Respler“, Sambor; Stołpce; St. Bielski, Warszawa; St. Jankowski, Łódź; A. Piwowarczyk, Borysław; Józefa Jamrowa, Borysław; Edw. Gugulski, Jędrzejów; Tad. Cybulski, Kraków; Kaz. Kasprzycki, Bydgoszcz; Helena Ławrentjewowa, Poznań; Cz. Kozłowski, Warszawa; Wład. Gajowa, Poznań; Józef Zagól, Kraków; „Pik 20“; B. Gawrylenia, Baranowicze; „Bebe“, Słonim; „Niezapominajka“; „Tuberoza“; Jan. Frąckiewiczówna, Łódź; M. Jagusiński, Kraków; Stan. Beśka, Stołpce; **Jerzy Stępień, Łódź (prenumerata miesięczna od 1—31 I. 1934);** Hubert Mrzygłód, Miasteczko Śl.; Aleks. Kowiański, Warszawa; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Józef Maziarz, Ozorków; inż. J. Stefański, Sosnowiec; Tadeusz Kutermak, Kraków; Józef Kudyk, Kraków; Jerzy Sas, Krzeszowice; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; J. S. Suliński, Kowel; T. Sobecki, Poznań; Janina Zaleska, Lwów; Eugenjusz Petrynowski, Kutno; Siuda, Poznań; B. Ramułtowa, Jeżów; B. Sobocki, Zbiersk; A. Glaszmidt, Warszawa; Wład. Wicherek, Czechowice.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. **Władysława Jankowskiego, Żywiec (zł. 20.—), Stefana Żelazowskiego, Busko Zdrój (zł. 10.—) i Jerzego Stępienia, Łódź (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31. I. 1934).**

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida“ prześle niebawem.

W Nrze 48 „Światowida“ umieściliśmy sprawozdanie z konkursu graficznego na „Kalendarz“ Kasy Oszczędności m. Krakowa, wykonanego przez uczniów Szkoły Sztuk Zdobniczych. Z powodu omyłki zecera, opuszczonem zostało nazwisko członka jury, pana Wiesława Zarzyckiego, dyrektora Państw. Szkoły Sztuk Zdobniczych. Autorami trzech najlepszych z nagrodzonych prac, są uczniowie Wydz. Grafiki, pp.: M. Szklar, Stefanja Nowakowska i Czesław Kudelik.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 551-90 i 551-91.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 49 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 2-go grudnia 1933 r.*



PIĘKNA HUCUŁKA.

Fot. Stanisław Leo.

FILM



MANIA Z CHICAGO.

Młodziutka Mania Konopkówna z Chicago, nasza rodaczka, która dotychczas występowała na scenach teatrów amerykańskich, jako baletnica i solistka na saksofonie, została zaangażowana do Hollywood. Życzymy pannie Mani, aby gwiazda jej zabłysła pełnym blaskiem na firmamencie filmowym.

C. B. F.

CENTRALNE BIURO FILMOWE.



Józef Relidzyński, literat i poeta, autor szeregu znakomitych scenarjuszy filmowych, kierownik C. B. F.



Fragment gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w którym mieści się Centralne Biuro Filmowe.



Feliks Wojtysiak zastępca kierownika C. B. F.

„Centralne Biuro Filmowe" — tak brzmi obecnie pełna nazwa instytucji, powołanej do życia dekretem z 18 lutego 1919 roku, a mającej za zadanie cenzurowanie filmów. Nazwę obecną otrzymała ona dopiero w roku 1928, kiedy wzrastający coraz bardziej rozwój kinematografji, a co za tem idzie, wzmożona praca cenzuralna, zmusiły władze państwowe do przekształcenia biura, mieszczącego się przy wydziale prasowym Min. Spr. Wewn., a później od roku 1926 w wydziale administracyjnym tegoż ministerstwa, w samoistny wydział cenzury filmowej.

Kierownikiem tego biura był początkowo płk. Łuskino, zaś od roku 1932 funkcje jego przejął p. Józef Relidzyński, znany literat. Zastępcą p. Relidzyńskiego jest p. Feliks Wojtysiak.

Funkcje cenzorów pełnią pp. Zygmunt Kawecki, Leon Choromański, Leon Kraszewski i Adam Wisłocki. Do ostatnich dni do kompletu cenzorskiego wchodził zmarły w połowie ub. m. śp. Jan Lemański. Śmierć jego stanowi dla „Biura" niepowetowaną stratę.

• • •

Po takiem ogólnem zapoznaniu się z władzami filmowemi — przyjrzymy się, jak się odbywa i na czem polega praca — „C. B. F.".

Wspomniany wyżej dekret z 1919 roku mówi: „... bez zezwolenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych żaden film na terenie całego państwa wyświetlany być nie może".

Nim więc któregoś wieczora, siedząc w kinie, zobaczymy jakiś obraz zagraniczny, czy krajowy, tygodnik dźwiękowy, dodatek krajoznawczy, czy kronikę PAT-a — tych paręset, czy kilka tysięcy metrów taśmy filmowej, musi przedtem znaleźć się w gmachu przy ul. Nowy Świat 69 i przesunąć się przed oczyma cenzorów.

Nie jest to praca ani łatwa, ani przyjemna. Kilka cyfr potwierdzi i jedno i drugie. W ciągu września br. przegrano w sali projekcyjnej „C. B. F." 121.668 metrów taśmy. Złożyło się na to 109 filmów. Całej tej pracy dokonali cenzorzy na 53 posiedzeniach. Komplet cenzorski oglądał więc przeciętnie 4 do 6 tysięcy metrów dziennie. Sześciokilometrowa wstęga, zawierająca najróżniejsze obrazy, przewija się prawie codziennie w studio projekcyjnem „C. B. F."

Są wprawdzie ludzie, którzy mają zdrowie chodzić na dwa filmy w ciągu wieczora. Ta przyjemność jednak po tygodniu zamienia się albo w rozstrój nerwowy, albo w chorobę, którą w nowoczesnym języku możnaby nazwać „kinowstręttem". Jeżeli zaś przyjmiemy, że cenzor obowiązkowo musi zobaczyć i ocenić dwa do trzech filmów dziennie i to przez mniej więcej 300 dni do roku, zrozumiemy, że cenzura filmowa należy do kategorji „lekkich ciężkich robót".

• • •

Jak wygląda procedura cenzuralna?

Każdy film, który ma wejść na ekran, zostaje zgłoszony w „C. B. F." Po załatwieniu formalności, opłat etc. wędruje on w nietkniętym stanie do sali projekcyjnej, gdzie zbiera się gremjum cenzorów. Godzinę lub półtorej trwa wyświetlanie obrazu. W ciągu tego czasu musi cenzor uprzytomnić sobie cały szereg rzeczy. A więc, czy film nie koliduje z zasadami moralności lub prawem; cenzor musi wejść w położenie widza, zastanowić się nad tem, czy film ten będą oglądali ludzie w śródmieściu stolicy, czy na peryferjach, w mieście prowincjonalnem, czy w małem miasteczku kresowem. Czy taką lub inną scenę, która nie wywrze złego wpływu na widzu-inteligencie, można pokazać kategorji widzów z peryferyj, u których może ona rozbudzić złe instynkty, może być szkołą występku. Słowem, jest to zupełnie inny sposób patrzenia. Cenzor patrzy na film z troską o dobro społeczeństwa.

Pomijając te względy, należy uprzytomnić sobie, że cenzorzy muszą nieraz przechodzić od oceny ciężkiego dramatu, do groteski, od lekkiej komedji do obrazu poetyckiego, czy filmu kryminalnego. Tego rodzaju praca ogromnie wytęża umysł i należy do najintensywniejszych i najbardziej odpowiedzialnych.

• • •

Skoro już cenzura wydała opinję, obraz otrzymuje legitymację i może iść na ekran. Wspomnieć jeszcze należy, że nie wszystkie czynności załatwia „C. B. F.". Jeżeli bowiem chodzi o ocenę strony artystycznej lub kształcącej, czy pozwolenie dla młodzieży, wówczas w posiedzeniach gremjum cenzorskiego biorą udział delegaci ministerstwa WR. i OP.

W wypadku odrzucenia filmu, kiedy strona zainteresowana jest niezadowolona z oceny, wówczas ma prawo apelacji. Komplet cenzorski zbiera się więc ponownie. Od drugiej decyzji niema już apelacji.

Dodać tutaj należy, że mimo wszystko nasza cenzura jest bardzo liberalna. Odsetek filmów odrzuconych jest minimalny, nie sięga bowiem jednego procentu. Władze nasze starają się iść na rękę producentom. Pod tym też kątem widzenia ułożona jest taryfa. Opłaty za cenzurę są u nas np. czterokrotnie niższe niż w Niemczech. O jak najdalej idącem ułatwianiu pracy filmowcom świadczy fakt, że niejednokrotnie kroniki, czy dodatki załatwia się w ciągu godziny. Gdy wchodzi w grę interes, czy kwestja aktualności, mimo nawału pracy „C. B. F." załatwia klientów bardzo szybko.

A że istotnie jest nawał pracy, świadczą o tem znowu cyfry. Podczas gdy w roku 1922 było w Polsce 455 kin, w roku 1932 cyfra ta podwoiła się niemal i wynosiła 759. Praca w „C. B. F." wzrosła przez to w dwójnasób. Pomijając już bowiem zwiększoną ilość obrazów, trzeba wziąć pod uwagę, że dawniej w filmie nie poruszano całego szeregu zagadnień, które się dzisiaj tam przedstawia. Charakter kinematografu z przed lat 10-ciu był raczej rozrywkowy. Dziś film wszedł na zupełnie inne tory i objął wszystkie dziedziny życia.

• • •

Jeszcze jedna uwaga. Bywalcy kin zauważyli niewątpliwie jeden charakterystyczny moment.

Od szeregu miesięcy widzi się coraz mniej filmów ze świata przestępczego. Wiąże się to z wielką akcją rządu w dziedzinie wychowania młodzieży. „C. B. F." zdając sobie sprawę z doniosłości filmu, jako czynnika wychowawczego, zajęło bardzo krytyczne stanowisko wobec filmów kryminalnych.

W tym wypadku padają czasem ofiarą obrazy o dużej wartości artystycznej. Filmu, któryby kolidował z moralnością, prawem, lub zagrażał bezpieczeństwu i całości państwa, nie ratują żadne względy. Obraz taki poza „C. B. F." nie wychodzi.

• • •

Ciekawy jest także stosunek władz filmowych do produkcji krajowej. Sprawy te jednak nie są jeszcze ustalone. W chwili obecnej uzgadniany jest projekt nowej ustawy filmowej, która wkrótce wejdzie w życie i ureguluje m. i. liczne kwestje, związane z produkcją krajową.

B. Si.



Lucjan Kraszewski



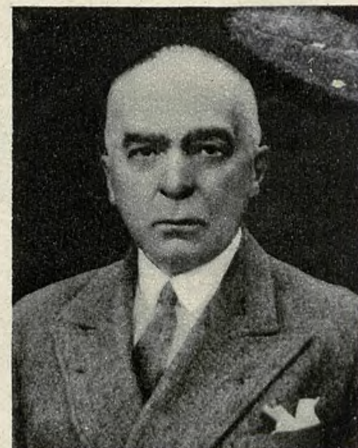
Leon Choromański



Zygmunt Kawecki



Adam Wisłocki



Jan Lemański

Cenzorowie Centralnego Biura Filmowego.

C. B. F.

CENTRALNE BIURO FILMOWE.



Józef Relidzyński, literat i poeta, autor szeregu znakomitych scenarjuszy filmowych, kierownik C. B. F.



Fragment gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w którym mieści się Centralne Biuro Filmowe.



Feliks Wojtysiak zastępca kierownika C. B. F.

„Centralne Biuro Filmowe" — tak brzmi obecnie pełna nazwa instytucji, powołanej do życia dekretem z 18 lutego 1919 roku, a mającej za zadanie cenzurowanie filmów. Nazwę obecną otrzymała ona dopiero w roku 1928, kiedy wzrastający coraz bardziej rozwój kinematografji, a co za tem idzie, wzmożona praca cenzuralna, zmusiły władze państwowe do przekształcenia biura, mieszczącego się przy wydziale prasowym Min. Spr. Wewn., a później od roku 1926 w wydziale administracyjnym tegoż ministerstwa, w samoistny wydział cenzury filmowej.

Kierownikiem tego biura był początkowo płk. Łuskino, zaś od roku 1932 funkcje jego przejął p. Józef Relidzyński, znany literat. Zastępcą p. Relidzyńskiego jest p. Feliks Wojtysiak.

Funkcje cenzorów pełnią pp. Zygmunt Kawecki, Leon Choromański, Leon Kraszewski i Adam Wisłocki. Do ostatnich dni do kompletu cenzorskiego wchodził zmarły w połowie ub. m. śp. Jan Lemański. Śmierć jego stanowi dla „Biura" niepowetowaną stratę.

* * *

Po takiem ogólnem zapoznaniu się z władzami filmowemi — przyjrzymy się, jak się odbywa i na czem polega praca — „C. B. F.".

Wspomniany wyżej dekret z 1919 roku mówi: „... bez zezwolenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych żaden film na terenie całego państwa wyświetlany być nie może".

Nim więc któregoś wieczora, siedząc w kinie, zobaczymy jakiś obraz zagraniczny, czy krajowy, tygodnik dźwiękowy, dodatek krajoznawczy, czy kronikę PAT-a — tych paręset, czy kilka tysięcy metrów taśmy filmowej, musi przedtem znaleźć się w gmachu przy ul. Nowy Świat 69 i przesunąć się przed oczyma cenzorów.

Nie jest to praca ani łatwa, ani przyjemna. Kilka cyfr potwierdzi i jedno i drugie. W ciągu września br. przegrano w sali projekcyjnej „C. B. F." 121.668 metrów taśmy. Złożyło się na to 109 filmów. Całej tej pracy dokonali cenzorzy na 53 posiedzeniach. Komplet cenzorski oglądał więc przeciętnie 4 do 6 tysięcy metrów dziennie. Sześciokilometrowa wstęga, zawierająca najróżniejsze obrazy, przewija się prawie codziennie w studio projekcyjnem „C. B. F."

Są wprawdzie ludzie, którzy mają zdrowie chodzić na dwa filmy w ciągu wieczora. Ta przyjemność jednak po tygodniu zamienia się albo w rozstrój nerwowy, albo w chorobę, którą w nowoczesnym języku możnaby nazwać „kinowstrętem". Jeżeli zaś przyjmiemy, że cenzor obowiązkowo musi zobaczyć i ocenić dwa do trzech filmów dziennie i to przez mniej więcej 300 dni do roku, zrozumiemy, że cenzura filmowa należy do kategorji „lekkich ciężkich robót".

* * *

Jak wygląda procedura cenzuralna?

Każdy film, który ma wejść na ekran, zostaje zgłoszony w „C. B. F." Po załatwieniu formalności, opłat etc. wędruje on w nietkniętym stanie do sali projekcyjnej, gdzie zbiera się gremjum cenzorów. Godzinę lub półtorej trwa wyświetlanie obrazu. W ciągu tego czasu musi cenzor uprzytomnić sobie cały szereg rzeczy. A więc, czy film nie koliduje z zasadami moralności lub prawem; cenzor musi wejść w położenie widza, zastanowić się nad tem, czy film ten będą oglądali ludzie w śródmieściu stolicy, czy na peryferjach, w mieście prowincjonalnem, czy w małem miasteczku kresowem. Czy taką lub inną scenę, która nie wywrze złego wpływu na widzu-inteligencie, można pokazać kategorji widzów z peryferyj, u których może ona rozbudzić złe instynkty, może być szkołą występku. Słowem, jest to zupełnie inny sposób patrzenia. Cenzor patrzy na film z troską o dobro społeczeństwa.

Pomijając te względy, należy uprzytomnić sobie, że cenzorzy muszą nieraz przechodzić od oceny ciężkiego dramatu, do groteski, od lekkiej komedji do obrazu poetyckiego, czy filmu kryminalnego. Tego rodzaju praca ogromnie wytęża umysł i należy do najintensywniejszych i najbardziej odpowiedzialnych.

* * *

Skoro już cenzura wydała opinję, obraz otrzymuje legitymację i może iść na ekran. Wspomnieć jeszcze należy, że nie wszystkie czynności załatwia „C. B. F.". Jeżeli bowiem chodzi o ocenę strony artystycznej lub kształcącej, czy pozwolenie dla młodzieży, wówczas w posiedzeniach gremjum cenzorskiego biorą udział delegaci ministerstwa WR. i OP.

W wypadku odrzucenia filmu, kiedy strona zainteresowana jest niezadowolona z oceny, wówczas ma prawo apelacji. Komplet cenzorski zbiera się więc ponownie. Od drugiej decyzji niema już apelacji.

Dodać tutaj należy, że mimo wszystko nasza cenzura jest bardzo liberalna. Odsetek filmów odrzuconych jest minimalny, nie sięga bowiem jednego procentu. Władze nasze starają się iść na rękę producentom. Pod tym też kątem widzenia ułożona jest taryfa. Opłaty za cenzurę są u nas np. czterokrotnie niższe niż w Niemczech. O jak najdalej idącem ułatwianiu pracy filmowcom świadczy fakt, że niejednokrotnie kroniki, czy dodatki załatwia się w ciągu godziny. Gdy wchodzi w grę interes, czy kwestja aktualności, mimo nawału pracy „C. B. F." załatwia klientów bardzo szybko.

A że istotnie jest nawał pracy, świadczą o tem znowu cyfry. Podczas gdy w roku 1922 było w Polsce 455 kin, w roku 1932 cyfra ta podwoiła się niemal i wynosiła 759. Praca w „C. B. F." wzrosła przez to w dwójnasób. Pomijając już bowiem zwiększoną ilość obrazów, trzeba wziąć pod uwagę, że dawniej w filmie nie poruszano całego szeregu zagadnień, które się dzisiaj tam przedstawia. Charakter kinematografu z przed lat 10-ciu był raczej rozrywkowy. Dziś film wszedł na zupełnie inne tory i objął wszystkie dziedziny życia.

* * *

Jeszcze jedna uwaga. Bywalcy kin zauważyli niewątpliwie jeden charakterystyczny moment.

Od szeregu miesięcy widzi się coraz mniej filmów ze świata przestępczego. Wiąże się to z wielką akcją rządu w dziedzinie wychowania młodzieży. „C. B. F." zdając sobie sprawę z doniosłości filmu, jako czynnika wychowawczego, zajęło bardzo krytyczne stanowisko wobec filmów kryminalnych.

W tym wypadku padają czasem ofiarą obrazy o dużej wartości artystycznej. Filmu, któryby kolidował z moralnością, prawem, lub zagrażał bezpieczeństwu i całości państwa, nie ratują żadne względy. Obraz taki poza „C. B. F." nie wychodzi.

* * *

Ciekawy jest także stosunek władz filmowych do produkcji krajowej. Sprawy te jednak nie są jeszcze ustalone. W chwili obecnej uzgadniany jest projekt nowej ustawy filmowej, która wkrótce wejdzie w życie i ureguluje m. i. liczne kwestje, związane z produkcją krajową.

B. Si.



Lucjan Kraszewski



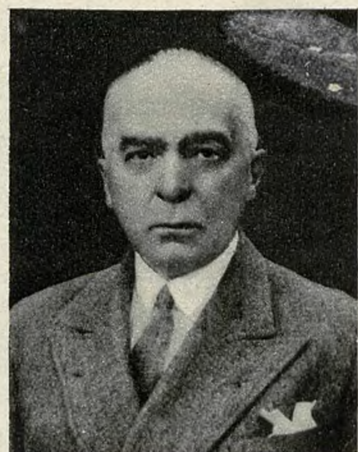
Leon Choromański



Zygmunt Kawecki



Adam Wisłocki

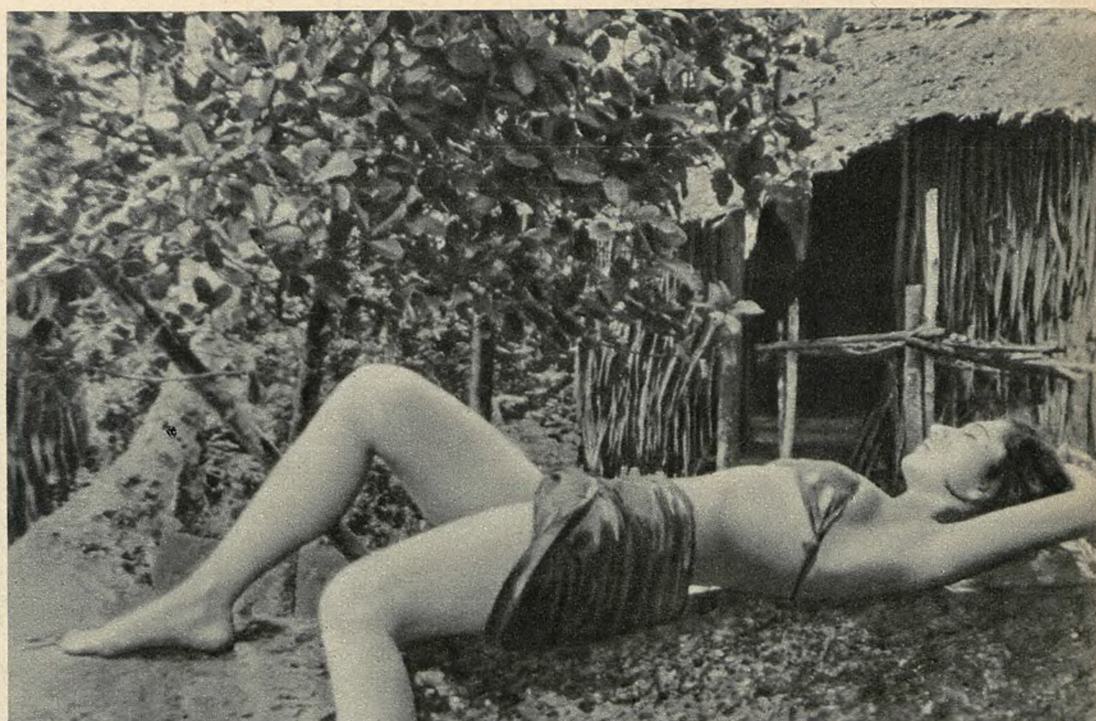


Jan Lemański

Cenzorowie Centralnego Biura Filmowego.

RANG •





Tytuł brzmiący dla przeciętnego Europejczyka zupełnie niezrozumiale. Jest to nazwa miasta w Indjach holenderskich, oraz jednej z wysepek archipelagu Malajskiego. Jednej z najdzikszych, gdzie do tej pory nie stanęła noga żadnego przybysza z Europy. Na wyspie tej rozbiła swoje obozy ekspedycja filmowa amerykańska, która pozostała tam przez szereg miesięcy, filmując życie i obyczaje zupełnie dzikich mieszkańców, biorąc udział w ich codziennych troskach, zabawach i polowaniach.

Inicjatorką wyprawy była znana podróżniczka, a zarazem aktorka filmowa amerykańska, Lori Bara. Kierownictwo wyprawy objął jej mąż Ward Wing. Poza siłami technicznemi, jak operatorzy, maszyniści — żaden z białych aktorów nie brał udziału w ekspedycji. Postanowiono stworzyć film wyłącznie dokumentarny, w którym tubylcy i natura graliby pierwsze skrzypce. Po przybyciu ekspedycji na wyspę, spotkano się z nieufnością mieszkańców, którzy wprawdzie widzieli od czasu do czasu przejeżdżające okręty, ale nie mieli jeszcze do czynienia z białymi ludźmi. Po paru dniach dopiero, tubylcy oswoili się z widokiem obcych przybyszów i pomogli w wyładowaniu okrętu. Należało wyszukać następnie odpowiednio fotogeniczną parę dla odtworzenia głównych ról w tym filmie. I tu dzieci dzikich wysp upodobniły się zupełnie do swych braci europejskich i amerykańskich. Natłok kandydatów był tak wielki, jak w wielkich atelier amerykańskich. Chętni przybywali nawet z najdzikszych zakątków wyspy, żywo manifestując swą gotowość grania. Po długich eliminacjach, foto i fonogenicznych, wybrano najdorodniejszą parę, o nazwiskach pięknie brzmiących, szerszym jednak zwolennikom kinematografji nieznanych: kobieta nazywała się Sai-Yu, mężczyzna Ahmang. Uchodził on za najodważniejszego łowcę pereł na wyspie. Należy zaznaczyć, że ekspedycja zabrała ze sobą dzwon nurkowy przeźroczysty, w którym operator siedząc dokonywał szeregu zdjęć. Był to drugi eksperyment tego rodzaju na świecie. Pierwszego dokonał dr. Beebe, Amerykanin, zdejmując ze szklanego dzwonu życie fauny podmorskiej.

Zdjęto połowy pereł, oraz udało się dokonać zdjęć: walki podwodnej z rekinem, napastującym łowcę pereł, oraz szereg bitew drapieżników podmorskich. Po kilkumiesięcznym pobycie na wyspie ekspedycja udała się w drogę powrotną. Zabrano ze sobą do Ameryki główną parę bohaterów-krajowców, podobnie jak to zrobił inny reżyser amerykański Van Dyke z parą Eskimosów, budzących obecnie wielką sensację w Hollywood. Zobaczymy, czy te talenty, przeszczepione na grunt amerykański, również dadzą takie wyniki, jak na ojczystych wyspach.

Rein.



MALAJSKICH.

NOWY FILM SOWIECKI.

Przed paru laty rewelacją w całem tego słowa znaczeniu był film sowieckiego reżysera Pudowkina — „Burza nad Azją“. Film ten był swego rodzaju objawieniem w dziedzinie sztuki filmowej, spełniając rolę taką samą, jaką ongiś w rozwoju teatru Europy odegrał wielki reżyser rosyjski Stanisławski.

Drugiem wielkiem wydarzeniem był wyświetlany z wielkiemi trudnościami w rozmaitych krajach — film genjalnego reżysera Eisensteina „Błękitny ekspress“. Szereg uświęconych tradycją kanonów runęło za jednym zamachem. Film rosyjski, posiadając wysoki poziom artystyczny, zyskał z miejsca wielkie powodzenie. Dla znudzonych rzesz bywalców kinowych film rosyjski stał się zupełnie nowym światem czarów.

Niemniejsze powodzenie zyskało kilka następnych obrazów sowieckich: „Życie i śmierć dońskiego kozaka“, „Turbina 50.000“, a zwłaszcza „Bezdomni“. Ten ostatni film, posiadając coprawda pewne tendencje propagandowe, stał jednakowoż na niezwykle wysokim poziomie, budząc zachwyt artyzmem zdjęć i reżyserją. Najnowszym filmem, jaki do nas zawita, będzie „Ziemia pragnie...“, reżyserji Jermolińskiego.

Oglądając którykolwiek z filmów produkcji sowieckiej zapominamy o tem, że to tylko złuda. Wydaje się nam, iż film ten — to prawdziwe życie, a aktorzy ze srebrnego ekranu — to żywi ludzie, przeżywający głęboko swe radości i smutki.

Do tej pory jednem ze sztandarowych haseł sowieckiej produkcji filmowej była teorja: „masy statystów i aktorów zastępują w filmie z powodzeniem wielkie „gwiazdy“ i „gwiazdorów“. To też w filmie rosyjskim nie było reklamowanych jednostek, ich rolę spełniali bezimienni częstokroć statyści, dzięki którym właśnie osiągano taką bezpośredniość i realizm. Wedle lansowanych pogłosek teorja filmów masowych, filmów bez „gwiazd“ ma ulec zmianie. Film sowiecki chce się upodobnić do Europy i U. S. A. Zdaje się jednak, iż nie wyjdzie mu to na dobre, gdyż wtedy straci on niewątpliwie swoje najbardziej przekonywujące atuty: świeżość i bezpośredniość.

(j. r.).

„ZIEMIA PRAGNIE...“

Scena z filmu „Ziemia pragnie...“

FAIRBANKS TOREADOREM



Douglas Fairbanks w jednym z swych najnowszych filmów grać będzie rolę toreadora. Aby jaknajlepiej przygotować się do tej roli, „Wielki Doug“ udał się do Sewilli, gdzie od znakomitego toreadora Daniela Luca de Tena pobierał lekcje atakowania byka i zachowania się na arenie, zgodnie z tradycjami, panującemi w Hiszpanji. Luca de Tena jest zachwycony swoim uczniem, który — wedle jego słów — zagra swą rolę znakomicie.

FILM TRÓJWYMIAROWY O BARWACH NATURALNYCH.

Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że kobieta przeżywa swoich najpiękniejszych dziesięć lat pomiędzy 29-tym a 40-tym rokiem życia. Podobnie ma się też rzecz z filmem. Nikt nie potrafi określić dokładnie, ile wiosenek film sobie liczy, ale powszechnie wiadomo, że obecnie wchodzi dopiero w okres swojego dojrzewania. Napozór mogłoby się zdawać, że to najmłodsze dziecko muz i chytrego Merkurego ma już kształty dojrzałe i charakter zdecydowany. Tak jednak nie jest, możemy zaledwie przypuszczać i domyślać się przyszłych form i kształtów nowej muzy. Nie będę się tu zastanawiał nad czysto filmowym rozwojem nowej sztuki. Pominę też wszystkie ulepszenia techniczne, ułatwiające zdjęcia, pominę wszystkie metody tricków filmowych przy zdjęciach obrazów i dźwięków. Chodzi mi tu tylko o dwa rewolucyjne wynalazki filmowe — o film w barwach naturalnych i o film plastyczny.

Wynalazek filmu w barwach naturalnych wyszedł już dawno z laboratorjum i przeszedł do gabinetów przemysłowców. Technicznie, a raczej wyrażając się ściśle, teoretycznie problem został już dawno rozwiązany i to nawet na kilka sposobów. Do kin nie został jeszcze wprowadzony na skutek pewnych trudności czysto handlowych. Wprowadzenie do kin aparatów dźwiękowych było dla właścicieli kinoteatrów obciażeniem tak dużem, że w przeciągu tak krótkiego czasu nie wytrzymaliby nowego wynalazku, który wymagałby przerobienia, czy nawet zmiany dotychczasowych aparatur. I dlatego wynalazcy wszystkich krajów pracują dalej nad ulepszeniem znanych metod, starając się nowy wynalazek dostosować do istniejących aparatów. Wysiłki te zostały uwieńczone powodzeniem. Skonstruowano rodzaj przystawki do istniejących aparatów, co umożliwia puszczanie filmów barwnych bez kosztownych przeróbek dotychczasowych projektorów. Pominę tu świetne rozwiązanie Szczepanika, gdyż pisaliśmy już o niem na tem miejscu, wspomnę natomiast o innem rozwiązaniu, nigdzie jeszcze dotychczas — o ile mi wiadomo — nie ogłoszonem. Ja wiadomość powyższą otrzymałem ze źródła bezpośredniego, bo od kolegi mojego, asystenta katedry fizyki na politechnice w Zurychu, gdzie właśnie przeprowadzano bardzo ciekawe próby nowych metod produkowania filmów w barwach naturalnych.

Wspomniana katedra przeprowadzała doświadczenia na zamówienie Zakładów Siemensa i według ich patentów. Siemens wyprodukował mianowicie specjalną taśmę, zaopatrzona w mikroskopijne, walcowate pryzmaty, wytłoczone w samym celulojdzie i biegnące w dużej ilości obok siebie wzdłuż całej taśmy. Obraz zdejmowany jest przez szereg filtrów barwnych i dzięki pryzmatom zostaje na taśmie „rozmazany". Reprodukowany przez takie same filtry, daje na ekranie obraz o wspaniałych barwach naturalnych. Ze zrozumiałych względów nie mogę na tem miejscu wchodzić bliżej w szczegóły i zawiłości techniczne tego wynalazku. Sama jednak zasada jest zupełnie prostą (po pokonaniu szalonych trudności wyprodukowania tego rodzaju taśmy!), a bogactwo koncernu, który próby przeprowadzał, daje pewne gwarancje realnych wyników, które też zostały osiągnięte.

Równocześnie donosi prasa fachowa o nowym wynalazku, umożliwiającym nakręcanie i reprodukowanie filmów barwnych, bez zmian dotychczasowej aparatury, dokonanym przez węgierskiego inżyniera Belę Gaspara. Niestety, nie są podane szczegóły, dotyczące tego wynalazku.

Nie ulega wątpliwości, że film w barwach naturalnych pokonał już najważniejsze przeszkody i że po krótkim czasie będziemy się dziwili, jak mogły nas zadowolić te poprzednie, szare cienie.

Daleko bardziej rewolucyjnym dla filmu i technicznie dużo trudniejszym jest wynalazek filmu plastycznego, trójwymiarowego. Dzisiejszy widz kinowy nie zdaje sobie często sprawy z tego, że ogląda obrazy płaskie, ale wystarczy przypomnieć sobie cuda, oglądane jeszcze podczas wojny w t. zw. fotoplastykonach, gdzie za minimalną opłatą odsłaniały się przed naszemi oczyma najwspanialsze panoramy, dające złudzenie najprawdziwszej rzeczywistości, aby zdać sobie sprawę z tego, jak płaskie są dzisiejsze obrazy filmowe. Obrazy, oglądane przez stereoskop, były zupełnie plastyczne i do tego samego stanu musi dojść film mimo pewnych trudności, jakie są jeszcze do pokonania.

Tak, jak problem filmu barwnego, tak i problem filmu plastycznego rozwiązują kilkoma różnemi metodami. Wynalazek amerykański, którego pokaz odbył się dwa lata temu przed przedstawicielami przemysłu filmowego, a którego szczegóły techniczne pozostały do dziś tajemnicą — miał być podobno najidealniejszem rozwiązaniem tego zagadnienia. Z powodów jednak podanych powyżej, przemysłowcy wynalazek ten zakupili za bardzo wielką sumę i postanowili nie eksploatować go aż do czasu, gdy zamortyzują się aparaty dźwiękowe. Zdaje się jednak, że plan ten nie da się przeprowadzić, bo tymczasem pracują nad tym problemem inni wynalazcy, którzy też doszli do pewnych realnych rezultatów. A nieco za kosztowną byłoby rzeczą wykupywanie wszystkich wynalazków plastycznego filmu.

Zasada, na której opierała się większość wynalazków, to zasada stereoskopu. Wiadomą jest rzeczą, że jeśli zrobimy dwa zdjęcia, dwoma objektywami, oddalonemi od siebie na taką odległość, jak oddalone są od siebie oczy ludzkie, a następnie oglądać będziemy obraz lewego objektywu okiem lewem, a obraz prawego objektywu równocześnie okiem prawem — to zobaczymy przedmiot fotografowany całkowicie plastycznie. — Stwierdzono jeszcze jeden fakt. A mianowicie, że obrazy te *nie muszą koniecznie pojawić się na ekranie równocześnie. Można je rzucić na ekran kolejno po sobie, byle z dostateczną szybkością.* Siatkówka oka ludzkiego zachowuje i utrzymuje obraz przez pewien czas tak, że mimo kolejności, dla oka zostanie zachowana równoczesność. Trudność polegała więc tylko na tem, by oko lewe stale widziało tylko obrazy lewego objektywu, a oko prawe obrazy prawego. Rozwiązano ten problem w ten sposób, że obrazy „lewooczne" i „prawooczne" inaczej barwiono, a widz ubierał okulary o szkiełkach np. czerwonych i zielonych. Wrażenie plastyczności obrazu zostało w całej pełni uzyskane.

Z zupełnie innych założeń wyszedł wynalazca niemiecki Hasso ze swoim patentem „Hasso Trias Plastikfilm". Twierdzi on, że błędem wszystkich dotychczasowych zdjęć jest nastawienie aparatu na jedną tylko ostrość. Gdyby aparat fotografujący daną bryłę zmieniał swoją ostrość w czasie zdjęć, t. zn. gdyby z danej bryły wykonano cały szereg zdjęć w coraz to innych jej płaszczyznach — to obraz tej bryły, rzucony na ekran, wywołałby plastyczne wrażenie. Wynalazca skonstruował specjalny aparat z automatycznie ruchomym objektywem dodatkowym, który porusza się tam i zpowrotem w pewnym okresie kilkunastu obrazków, pozwalając na zdejmowanie kolejnych głębi danej bryły. Podobno wyniki tego nad wyraz ciekawego eksperymentu są doskonale i kto wie, czy jego metoda, nie wymagająca żadnych najmniejszych zmian w projektorach nie wyprze wszystkich innych. Jeszcze jeden wynalazca, inż. H. E. Ires z laboratorjum Bell Telephon Comp., który też zademonstrował swój wynalazek na pokazie w New Yorku — nie podaje szczegółów swego rozwiązania.

W każdym razie dla wszystkich ludzi, obeznanych choć troszeczkę z metodami pracy technicznej, nie ulega już dziś najmniejszej wątpliwości, że kwestja wprowadzenia na ekrany filmu plastycznego jest sprawą najbliższych miesięcy. Być może też, że film plastyczny wprowadzony zostanie równocześnie z filmem barwnym.

Można sobie wyobrazić, jaka to będzie dla filmu rewolucja! Cóż za ciekawe, nowe możliwości otworzą się przed sztuką filmową. Jakież nowe problemy formalne, ile nowych wynalazków reżyserskich! Wydaje mi się, że dopiero od dnia wprowadzenia filmu plastycznego rozpocznie się właściwy rozwój filmu. To wszystko, co dotychczas nam pokazano, to dopiero wstęp i to wstep bardzo, bardzo skromny.

Aleksander

* * *

Feljeton p. Aleksandra p. t. „Filmowy „Nóż w brzuchu" — o tak zwanej awangardzie słów kilkoro — wywołał żywą polemikę. Wyrazem jej będzie artykuł, nadesłany nam przez p. Jalu Kurka, znanego awangardzistę filmowego, który zamieścimy w numerze następnym, w imię bezstronności i zasady audiatur et altera pars. *Redakcja.*

KONKURS NA POLSKI KOSTJUM NARCIARSKI.

Znany karykaturzysta p. Antoni Wasilewski zwrócił się do naszej redakcji z projektem urządzenia konkursu na polski kostjum narciarski, nadsyłając na ten temat artykuł, który drukujemy poniżej. Podejmując inicjatywę p. Wasilewskiego, redakcja nasza zwraca się z apelem do P. T. Artystów z prośbą o nadsyłanie odpowiednich projektów do dnia 1. stycznia 1934 r. Gdy zbierze się odpowiednia ich ilość powołamy jury, które przyzna nagrody. Na razie podajemy projekty kostjumów narciarskich p. Wasilewskiego (Ryc. 1 i 3) i Różańskiego (Ryc. 2).



1.



2.



3.

Najtrudniej jest zacząć. Te słowa wypowiada każdy narciarz, przypinając pierwszy raz deski do kończyn nóg. Niemniej trudniej jest zacząć i napisać artykuł o modzie i to w dodatku o modzie narciarskiej. Moda, ta wielka, kapryśna histeryczka, zmienia się co rok jak kameleon, a conajmniej jak nasz polski melon. Raz jest zielona, to znowu dojrzewa, zmienia opancerzenie na kolor „zgniłej cegły“! Też porównanie.

Przeżywamy różne mody. Pamiętamy namiętną modę — grę w bridża. Modę picia džinu, modę wygalania karczków u pań i panów, modę krótkich spódniczek i inne. Toalety pań i ich zewnętrzny wygląd zmieniają się z dnia na dzień jak komunikaty meteorologiczne. Następstwem jest. zamrożenie gotówki u pana męża, ustawiczne burze z małemi opadami popielniczek, talerzy, flakonów na zacną głowę pana domu. Kompromisu z panią domu niema. Pani moda posuwa się w trybie doraźnym. Słowo się rzekło, więc pan mąż musi kupić nową suknię! Od tego wyroku apelacji niema.

Dnie po upalnem lecie mijały dość spokojnie w kółku rodzinnem. Aż tu nagle pani domu chwyta do ręki dziennik.

— No widzisz — syczy małżonka — mówiłeś, że mam jeszcze czas myśleć o nartach — a tu już pierwszy śnieg spadł w Tatrach. Patrz! Czytaj.

Na męża spadł też jak grom z jasnego nieba ten komunikat. Znowu parę złotych jak psu z gęby wyjął! Rada familijna, nie wyłączając „perły domowej“ radzi, debatuje jaki kostjum dla pani domu byłby najodpowiedniejszy i któryby zwrócił ogólną uwagę Zakopanego.

— Najchętniej, moje złotko, kup kostjum kąpielowy. Jest tani i fotogeniczny — odzywa się małżonek.

Niestety pani domu nie korzysta z rad męża, natomiast chętnie korzysta z rycin żurnali zagranicznych. W krótkim czasie powstaje smukła sylwetka na śniegu, dość ciekawa i kolorowa. Różnokolorowe figurynki (nie z porcelany) prezentują się barwnie dla oka, na białym obrusie śniegu. Określenie figurynki nie z porcelany jest może nawet trafne, choćby dlatego, że nie tłuką się pomimo stałych upadków. Smukłe i zgrubiałe postacie mężczyzn z przewieszonemi kraciastemi szalami, też świetnie kontrastują na białym puchu tatrzańskim. Lecz rzućmy okiem tu i ówdzie. Pośród pięknych swetrów barwnie sharmonizowanych, wśród różnych nakryć głowy, jak włóczkowych czepków, cyklistówek, przewijaja się na nartach nasze kochane góraliki i góralki. Jaki to piękny obrazek, a tak mało spotykany na nartach. Każdy z górali ma za szczyt swej ambicji i smaku, wdziać na siebie długie norweskie spodnie z kurtką i w tym samym tonie utrzymaną czapkę. Moda ta przynajmniej nie razi na tle Tatr. Strój norweski jest ogólnie przyjęty na świecie, chociaż jest coraz rzadszy.

Lecz weźmy pod uwagę inne okazje. Wyjeżdża nasza ekspedycja do Austrji, Czechosłowacji, lub Jugosławji. W tej chwili, w pięć minut po zatrzymaniu się pociągu, nasi narciarze paradują po Zakopanem w nowych zdobyczach mody, jak: tyrolskich pończochach kraciastych, tyrolskich kurtkach i kapelusikach z typowem zakręconem piórkiem. Podobne inowacje wprowadzają nasi reprezentanci za każdym pobytem zagranicą. Powstaje zatem w Zakopanem istna wieża Babel kroju i „ozdóbek“ narodowych, przywiezionych z za muru granicznego. A przecież mamy takie piękne nasze stroje góralskie, które przy umiejętnem zastosowaniu, mogłyby ustalić nasz narodowy krój ubioru narciarza. Co to za sukces naszej propagandy zagranicą, gdyby nasi narciarze wyjeżdżali w odpowiednich kostjumach. Setki objektywów, aparatów filmowych skierowanoby na naszych Marusarzy. Nawet poniesiona klęska wynagrodziłaby propagandę naszego Podhala i Zakopanego. Wiemy dobrze, że „bukowe portki“ z grubej wełny są zupełnie nieodpowiednie dla narciarza, jak również gunia, czy skórzany serdak. Ale gdyby te części ubioru były zrobione czyto z sukna, czy z włóczki w formie swetrów, kto wie, czy nie przyjąłby się ten nowy ubiór. Kapelusik góralski, chociaż okazałby się niepraktyczny przy zjazdach, względnie skokach, mógłby po zawodach być główną ozdobą naszego reprezentanta i podbiłby niejedno serce Szwajcarki, względnie Tyrolki.

Ponieważ w tym roku odbędą się pierwsze ogólno-słowiańskie zawody w Zakopanem, należałoby tym projektem zainteresować się bliżej. Przyszłość okaże, czy ten projekt zaszczepi się na naszych Krupówkach i halach.

Was.

OFIARY OSZUKAŃCZEGO „EMPE-FILMU“ NA BRUKU STOLICY.

Pamiętam, jak przed trzema laty zgłosił się do mnie jeden z mieszkańców Warszawy, prosząc o jakąś pomoc dla gromadki naiwnych, rzuconych bez środków do życia na bruk stolicy — dzięki oszukańczym metodom t .zw. „Empefilmu“.

— Błąkają się ci biedacy po mieście, nie wiedząc, co począć ze sobą, opowiadał — pieniądze wyczerpały się, z mieszkania ich wyrzucają, niema za co wrócić do domu, a ludzie, którzy mieli się nimi w Warszawie opiekować, znikli...

Bliższe zapoznanie się z ofiarami machinacyj „Empefilmu“ odsłoniło w całej pełni tajniki tej oszukańczej „szkoły“ filmowej i fikcyjnej wytwórni.

Osobliwie zaiste przedstawiała się ta galerja marzycieli o sławie filmowej... Typy, pościągane przy pomocy kłamliwych a nęcących obietnic ze wszystkich krańców Polski, z najdalszych, najbardziej zapadłych zakątków...

I śmiech brał i serce ściskało się współczuciem,



Kandydat na następcę Valentina